Nr. 31. Poznań, Niedziela 28go Października 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Walne zebranie delegatów W. Ks. Poznańskiego.
Polityka: Przegląd prasy słowiańskiej.
Badania naukowe. Zaściankowa geozofia przez W. N.
Literatura i sztuka: Nowi ludzie p. dr. I. Suessera. — Książka St. Koźmiana o r. 1863 p. K. Bartoszewicza. (Ciąg dalszy.)
Życie społeczne: Śmierć w hypnozie p. Prof Eulenburga. — Szkic z życia amerykańskiego I' p. W. Szukiewicza. — Kronika krakowska p. K' Bartoszewicza. -- Listy z Petersburga p. X.
Feljeton: Na Wyłomie, przez Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Bibliografia.
Odpowiedzi Redakcyi.
Odcinek: Mogiła p. Maurycego Zycha. — Czy znajdzie? p. Majaka.

Walne zebranie delegatów W. Ks. Poznańskiego.

Walne zebranie delegatów W. Ks. Poznańskiego przyszło nareszcie do skutku. Rok nieomal czekaliśmy napróżno, a cierpliwość obywateli zaczęła się już wyczerpywać i w ostatnim mianowicie czasie zamieniać w protest energiczny. Pod presyą coraz natarczywszych skarg i żądań niezależnych dzienników zdecydował się ostatecznie komitet prowincyonalny zaprosić delegatów na walne zebranie do Poznania, a rezultat zebrania tego jest tak dodatnim, że dziś już spokojniej w przyszłość spoglądać możemy.

Trzy ważne momenty stanowią cechę charakterystyczną wtorkowych dyskusyi: 1) zmiana regulaminu wyb orczego, 2) wyjaśnienie i zadosyćuczynienie w sprawie „okólnika“, ogłoszonego przez pismo nasze, 3) rozumna uchwała komitetu w celu załagodzenia poznańskiej secesyi.

Zmianom regulaminu wyborczego poświęcimy niebawem szczegółowy artykuł, — dziś tyle tylko powiedzieć możemy, że walne zebranie nie uwzględniło wszechstronnie życzeń i postulatów pisma naszego, ale bądź co bądź przeprowadziło reformę rozumną, zastósowaną do potrzeb chwili obecnej, określającą ściślej elastyczne przepisy starego regulaminu i nakładającą poniekąd pęta stronniczym zakusom, kiełkującym w łonie komitetu prowincyonalnego.

Nie sądzimy bynajmniej, aby zmiana dokonana stanowiła środek radykalny dla usunięcia z szeregów komitetowych działalności nie licującej z zasadą bezstronnego objektywizmu, — nie twierdzimy również, aby reforma uwzględniała dokładnie i krytycznie prądy, pulsujące w społeczeństwie naszem oraz ich konsekwencye, ale powtarzamy raz jeszcze, że przykrojono dla stosunków poznańskich właściwszą szatę, i uczyniono krok poważnego postępu. W najbliższych latach życia politycznego przekonamy się niezawodnie, że i w nowym regulaminie są pewne błędne, giętkie lub niedostateczne przepisy, a wtedy niewątpliwie podejmie walne zebranie delegatów radykalniejszą reformę i nie ściągnie na siebie zarzutu hołdowania uporczywemu konserwatyzmowi.

Sprawa poufnego okólnika, ogłoszonego przez nas w nr. 26 „Przeglądu Poznańskiego“, — sprawa, niepokojąca całe myśące społeczeństwo, rzucająca charakterystyczne światło na stronnicze manipulacye komitetu prowincyonalnego, i rozpływająca się powodzią artykułów dziennikarskich po całym zaborze pruskim — zakończyła się dyskretnem „pater peccavi“ najwyższej władzy wyborczej. Gdy słynny „okólnik“ pojawił się w łamach pisma naszego i cała prasa opozycyjna z niezwykłą energią zażądała wyjaśnień, wtedy „Dziennik Pozn.“ i „Kuryer“ okryły ją pancerzem zaklętego milczenia i starały się ciszą śmiertelną pogrzebać kompromitującą rewelacyą. Organy te mniemały prawdopodobnie, że opinia publiczna uspokoi się i zapomni. Toż u nas zapomina się o tylu grzechach, że i tu zjawić się mogła nadzieja zwycięstwa, dzięki wypróbowanej taktyce milczenia. Stało się jednak inaczej. Sprawa to była nadto doniosła, aby przejść nad nią do porządku dziennego bez wyjaśnienia i satysfakcyi, a zanosiło się nawet na to, że uwieńczy ją wotum niezaufania dla komitetu prowincyonalnego. Świetnie uzasadniona interpelacya p. mecenasa *Moczyńskiego* z Bydgoszczy i mecenasa *Kutznera* z Ostrowa stały się głośnym echem tych uczuć, pragnień i niepokojów, które wstrząsały w ostatnich czasach krytyczną i nie zasklepioną w stronniczej skorupie częścią społeczeństwa, a wywarły na zgromadzeniu takie wrażenie, że nikt z obecnych, z wyjątkiem generalnego sekretarza, a prawdopodobnego autora okólnika, nie odważył się bronić *bez zastrzeżeń* poufnego reskryptu, wyciskającego piętno partyjnych zabiegów na komitecie prowincyonalnym. Jako puklerz ochronny wysunięto „dobre intencye“ komitetowej korporacyi, „która nie opozycyą potępić, lecz secesyi przeciwdziałać pragnęła“, a we wszystkich tych obronach brzmiało wyraźne wyznanie, że „*forma*“ okólnika z powodu zwrotów „*niefortunnych*“ mogła nastręczyć materyał do fałszywych domysłów. W tym duchu przemawiał z wielkę brawurą i zręcznością pan szambelan poseł *Cegielski* i prezes komitetu p. *hr. Żółtowski.*

Dyskusya stała się publicznem legalizowaniem opozycyjnych stronnictw, identyfikowanych stale przez pewne koterye „z wrogami ładu porządku“, których bez względu na godziwość środków zwalczać i ścigać należy, — a tem samem wyłoniło się ze sprawy okólnika *powszechne* potępienie tych wszystkich, którzy w rodzaju „*Kuryera Poznańskiego*“ mają zawsze w pogotowiu pręgierze i stosy ofiarne dla prądów przeciwnych. Wobec tego moralnego tryumfu i wyraźnego przyznania „*niefortunnej formy*“ okólnika uznali interpelanci satysfakcyą za dostateczną i wstrzymali w rozumnem umiarkowaniu wiszące nad głowami komitetu potępienie dotkliwszej natury.

Prawdziwym tryumfem politycznego objektywizmu stał się również trzeci moment wtorkowych dyskusyi: sprawa poznańskiego rozdwojenia. Nie możemy sobie odmówić przyjemności złożenia na tem miejscu głębokiego uznania dla stanowiska zajętego w toku polemiki przez *pp. dr. Komierowskiego, Wojciecha Łubieńskiego i Stanisława Żółtowskiego.* Bez względu na stronnictwo polityczne, w którego szeregach walczą i działają, — bez względu na to, że komitet dr. Kusztelana nosi na sobie sympatyczne dla nich piętno ugodowe, — bez względu na to, że wniosek o rozwiązanie komitetu tego wyszedł od p. mecenasa *Kutznera,* jednego z najdzielniejszych rzermierzy opozycyi, — podporządkowali wyżej wymienieni delegaci stronnicze sympatye i autypatye idei dobra publicznego i głosami swojemi przechylili szalę zwycięstwa na stronę tych, którzy w imię interesu narodowego żądali zniesienia secesyi przez usunięcie motywów rozdwojenia. Co do nas to w fizyonomii pamiętnej dyskusyi upatrujemy wróżbę pomyślnej przyszłości, czerpiąc z niej przekonanie niezłomne, że namiętność stronnicza nie zniszczyła w obywatelstwie naszem do szczętu zmysłu krytycznego i sprawiedliwej oceny stosunków. Wprawdzie pojawiały się w toku rozpraw doniosłych głosy ślepego fanatyzmu, — wprawdzie usłyszeliśmy zgrzyt wyuzdania stronniczego w słowach, że „każda koncesya dla opozycyi jest policzkiem dla stronnictwa konserwatywnougodowego“ — wprawdzie podstępna polemika pana *Dobrowolskiego* z apostołami zgody i harmonii przekonała nas znowu o potrzebie usunięcia od steru spraw publicznych niebezpiecznych żywiołów, — ale bądź co bądź rezultat głosowania, znakomite przemówienia mecenasa *Kutznera* i *Moczyńskiego,* a wreszcie bezstronne i prawdziwie narodowe stanowisko trzech delegatów przeciwnego obozu — to tryumf prawdziwy zdrowego zmysłu politycznego i zdrowych prądów w społeczeństwie poznańskiem.

Epilog walnego zebrania delegatów rozegrał się wczoraj na zgromadzeniu mężów zaufania pod wodzą komitetu dr. Kusztelana. Korporacya ta złożyła dowód sumienności, rozumnego pojmowania obowiązków obywatelskich i posłuszeństwa dla najwyższej władzy wyborczej, składając natychmtast urzędy swoje, lubo uchwała delegatów w sprawie rozwiązania ko-

mitetu ujętą została w formę dyskretnego życzenia. Stoimy zatem u progu nowych wyborów i nowej walki zaciętej.

Nie przesądzamy dziś jeszcze, jakie stanowisko wobec nowej i niespodziewanej ewolucyi stosunków zajmie stronnictwo ludowe, ale wyrażamy nadzieję, że w chwili obecnej, gdy fundament secesyi z pod nóg się usuwa, gdy najwyższa władza wyborcza z różczką oliwną pokoju i owocem poważnej koncesyi zbliża się do szeregów skrzywdzonych obywateli, gdy komitet dr. Kusztelana wyciąga ochoczo rękę do zgody, — nikt nie odważy się snuć dalej wątku rozdwojenia i „polityki na własną rękę“. Nie mamy prawa żądać, aby komitet ruchu ludowego zakończył istnienie swoje, ale obowiązkiem jego wyjść z izolowanej pozycyi i ponad komitetem partyjnym uznać komitet ogólny.

Stronnictwo ludowe nie jest zwolennikiem *zasadniczej secesyi* i dla tego nie wątpimy ani chwili, że z dniem dzisiejszym kończy się rozdarcie społeczeństwa naszego.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie „*Narodni Listy*“ umieściły w numerze środowym zeszłego tygodnia artykuł p. t. „Polonia triumphans“, który ma być zapowiedzią zmiany stosunków pomiędzy reprezentacyą czeską a polską w radzie państwa w Wiedniu. „Narodni Listy“ piszą:

„Zeszłe lato należało do Polaków. Galicyjska z nazwiska, a w rzeczywistości polska wystawa we Lwowie stała się miejscem, dokąd spieszyli Polacy ze wszystkich krańców Polski, i z pod wszystkich trzech zaborów.

„Rozdarta na trzy części poczuła się Polska znowu jednem ciałem, stara pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ rozbrzmiewała głośnem echem. Polacy z Cieszyńskiego, Poznania, ze Śląska pruskiego i Kongresówki spieszyli do Lwowa, niby do Mekki, aby sobie dłoń braterską podać i uścisnąć. Byli też na wystawie wygnańcy Sybiru. Przyszli się Polakom pokłonić Niemcy i Madziarzy, przyszli paktować z nimi Plener i Chlumecki i hr. Schönborn w imieniu konserwatystów austryackich. Lwów miał ciągle święta. W końcu zawitał i cesarz, a radość doszła do szczytu, gdy padły monarsze słowa uznania, że Polacy, Niemcy i Madziary to słupy monarchii. Były to dnie tryumfu nie całej Galicyi, ale tylko części jej, nie całej Polski, ale szlachty polskiej, bo tak lud polski jak Rusini spali z dala. Na czele tej szlachty stoją Sapieha, Badeni, Potoccy i Czartoryscy, których polityka święciła tryumfy.

Naszym pobratymcom Polakom życzymy powodzenia z całego serca. Wytykano nam wprawdzie, żeśmy nie byli na wystawie, ale nie zjawiliśmy się dla tego jedynie, że nas nie proszono(!). Nasze stosunki polityczne z Polakami są tego rodzaju, iż mogłyby nas usposobić dla nich nieprzychylnie, bo Koło polskie w Wiedniu idzie dziś ręka w rękę z największymi wrogami naszymi, Niemcami, ale nie chcemy płacić złego złem i zawsze wszystkiego dobrego życzyć będziemy Polsce.

W chwilach radości i powszechnego zapału, czy na placu wystawy witał się Polak z Polakiem, gdy radość i zapał dosięgały zenitu, czyhały na Polaków denuncyacya i podejrzenie o nielojalność. Lojalność to rzecz śliska, nie będziemy się nad nią rozwodzili. Nielojalność zarzucają i nam Czechom. Nie podajemy lojalność Polaków wobec monarchii habsburskiej w wątpliwość, choć jest ona u nich uczuciem młodem, wyrosłem w ostatniem 10-leciu, gdy na nie winny składać się wieki. Nie jest to winą Polaków, bynajmniej, że starszej daty nie nosi. Komu są znane stosunki Polaków w Austryi w przeszłości niedalekiej, ten wie, że stosunki te nie mogły lojalności zaszczepić głęboko. Jeszcze żyje w Galicyi ta generacya, która własnemi oczyma patrzała na rok 1846, na rewolucyą chłopską; ci sami, którzy wówczas stali na czele ruchu narodowego, znajdują się dziś w Wiedniu u steżu rządów i w łaskach u władzy.

Po roku 1846 nastał rok 1863. Polacy patryoci z Galicyi nieśli pomoc braciom swym walczącym przeciw Rosyi. Za to spotkały ich ze strony rządu naszego prześladowania. Patryotyzm swój opłacili Smolka. Sapieha i inni prześladowaniem i więzieniem. Pamięć tego pozostała w Polakach do wojny z roku 1866. Lojalność nie powstaje sama ze siebie, ale musi mieć grunt przygotowany, a tem przygotowaniem nie można było nazwać smutnej pamięci rządów Bachów.

Zwrot ku lepszemu nastąpił dopiero po Sadowie. Wówczas to wydał hr. Wodzicki hasło: Stójmy wiernie przy dynastyi, a w r. 1867 wyrzekł Potocki pamiętne słowa: Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać będziemy. Odtąd poczęły się w Wiedniu stosunki Polaków do państwa wyjaśniać. Nastało w roku 1868 nieporozumienie wprawdzie dla którego cesarz podróż swoją do Galicyi odwołał, ale było ono krótkie.

Od roku 1879 stali się Polacy ważnym faktorem w polityce wewnętrznej i zewnętrznej naszej monarchii, a razem z naprężeniem stostosunków Austryi z Rosyą wpływ ich rósł i potężniał. I w Niemczech wskutek przyjaźni, jaką cesarz powziął do osoby p. Kościelskiego, powiodło się Polakom uzyskać ustępstwa.(?!)

Dziś stosunek ten znowu się pogorszył. Książę Bismark, nieubłagany wróg Polaków, a za nim cesarz niemiecki przeciw nim wystąpili, a to wystąpienie odezwało się echem głośnem za kordonami granicznemi.

Pisma niemieckie w Austryi wystąpiły przeciw Polakom posądzając ich o nielojalność. My te posądzenia uważamy za niesłuszne; Niemcy austryaccy znani ze swych tendencyi prusofilskich już najmniej mają racyi występowania z podobnemi zarzutami.

Polacy galicyjscy są równouprawnionymi obywatelami austryackiemi, od lat 20. Przez lat 60 uważano ich za narodowość podbitą i ujarzmioną i tak też z nimi postępowano.

Ku najwyższej chwale Polaków podnosimy, że największy z nich pesymista nie zwątpił jeszcze o przyszłości narodu. Nie ma u nich nawet wśród orderowanych excelencyi takich, którzyby widząc możliwość odbudowania Polski, nie poświęcili za to każdej chwili krwi i mienia. Nawet najkonserwatywniejsze pisma polskie z myślą i przekonaniem tem się nie tają. Zresztą w myśli tej i jej propagowaniu — w owej idei Polski Jagiellońskiej, znajdującej wyraz w połączeniu Austryi, Węgier, Czech i Polski nikt winy znaleść nie może.

Znakiem wymownym jest milczenie, jakie Polacy obserwowali podczas debat w delegacyi nad polityką zagraniczną. Dowodzi ono zmiany w zapatrywaniach Polaków. My i z nami świat cały milczenie to zrozumieliśmy, jest ono głośniejszem aniżeli mowy najognistsze. Polacy w zaufaniu swem do trójprzymierza, którego twórcą jest Bismark i cesarz niemiecki, chwiać się zaczynają.

Oby Polakom na ich drodze życia politycznego przyświecała ta myśl, która jednym ciągnie się pasmem w dziejach Słowiańszczyzny. Nam Słowianom trzeba iść razem, my jesteśmy sobie przyjaciółmi najbliższymi, nam jako członkom jednego rodu trzeba walczyć ramię przy

---

14)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

— Nie wiem, czy się z nią będę mógł zobaczyć, bo wyszła za mąż.

— Za oficera?

— Aha.

— Ulina! — krzyknął do synowej, która w sieni z kimś rozmawiała, — Ulina! Wydały *Jagodę* za tego bez nosa...

— Wydały... — westchnęła żałośnie ta kobieta, a za nią kilka jeszcze osób w sieni.

Szybko ich wszystkich pożegnałem i wybiegłem z tej chałupy. Wnuczek Pietrek dreptał obok mnie aż na koniec wsi. Wskazał mi wąską drożynę na prawo i pędem wrócił do domu.

Była już pewno północ. Nieznana mi okolica leżała w mroku. Bielał tylko przedemną pas drogi na przestrzeni kilku kroków i niezmierzona mleczna droga na niebiosach. Zdawało mi się, że ciemność nietylko mię otacza, ale idzie przezemnie na wskroś, jak idzie przez wodę.

Miękiemi, niewidzialnemi piórami swych skrzydeł dotykała każdej myśli i gasiła iskierki pociechy. I myśli rozproszyły się, a potem wsiąkały w bezgraniczny mrok żalu. Czułem w sercu powolne, na dnie, tygodnie, miesiące i lata rozłożone podlenie bezcennych uczuć panny *Jagody*, wszystek ich bezsilny, rozpaczliwie beznadziejny opór. Cóż ją ma wesprzeć, co ogrzać? Czyż jest śmierć tak straszliwa, któraby się równała życiu tak nędznemu? Mężnie jak Dawid samotna szła „w imię Pańskie“ naprzeciwko wroga, a my wszyscy, którym nieszczęście odebrało rozum, związaliśmy ją naszemi prawami i oddali do łoża temu właśnie wrogowi...

Nie pamiętam, jak długo się wlokłem. Gdy ciemność rozchodzić się zaczęła i pierwszy brzask stanął nad dalekiemi lasami, spostrzegłem, że zbliżam się do Wieprzowodów. Byłem na jednym z pagórków, otaczających miasto. Szary zmrok panował jeszcze w kotlinie, z której wznosiły się i widniały tylko dwie wyniosłe wieże cerkwi, nadzwyczajnie podobne zdaleka do dwu kominów samowara z dwoma na szczytach „tulskiemi“ czajnikami. Stanąłem na owem wzgórzu i rozmyślałem, jak okrutnie długim jest czas mego życia, spędzony w tem miasteczku. W szczęśliwych krajach dziesiątek lat tak by człowieka nie pochylił ku ziemi... Brylantowe strzały uczuć i pragnień, co je serce wyrzucało w nieskończoność tak jeszcze niedawno, wszystkie zleciały i ostremi grotami utkwiły w tem samem sercu, nadając mu doprawdy krwawe rany. Strasznie szybko żyjemy w niewoli. Jeszcze się włos nie wysypał na brodę, a już mu tęskno do śmierci...

Obóz pod Krępą. 2 września.

Jak to dobrze mieć własny namiot, spać na dywanie i nie wystawiać ani kawałka grzbietu na słońce! Jeszcze nie wydychałem z płuc wszystkiego pyłu, jeszcze mię boli każda kość z osobna. I taki pan pochodzi wprost od sarmatów, którzy pod Wiedniem i gdzieś tam jeszcze... Pędraki obrzydliwe — nie ludzie! Sławny nasz pułk wyruszył z Wieprzowodów 25 z. m. Pochód do Siedlec zabrał dwa dni czasu, a stamtąd na miejsce — okrągłe trzy. Szliśmy po sześciu w szeregu, jedną długą, nieskończoną szosą. Nie widziałem zupełnie okolic które przebyłem. Za grzechy dowódców (a zapewne

ramieniu. Wówczas tylko spełnić się mogą i te nadzieje, któremi żyją „*najszlachetniejsi ze Słowian*“...

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ umieszcza następujące pismo przesłane dziennikom chorwackim i podpisane przez kilku patryotów.

„Odkąd Dr. Frank (żyd chorwacki. Przyp. Tł.) stał się kierownikiem organu stronnictwa prawa „*Hrvatska*“, który wychodzi w Zagrzebiu, nie śmie bez jego pozwolenia drukować dziennik ten przemówień żadnego z posłów chorwackich.

Od tej pory poczęto tam wytykać Chorwatom przymorskim w Rjece, że 1) niedbale bronią sprawy narodowej, dobrowolnie ustępując Włochom i Madziarom. 2) w pierwszym rzędzie zaczepiono tutaj Erazma Barczyca, którego Chorwaci tamtejsi uważają za swego przywódzcę.

Frankowa „Hrvatska“ twierdzi dalej, że Chorwaci rjeccy są przyczyną smutnego stanu sprawy narodowej. Napaści organu stronnictwa, które się dziś znajduje w rozkładzie są bezpodstawne. Wiadomo o Barczicu, że wróciwszy w roku 1848 z uniwersytetu wiedeńskiego najpierw zwrócił się do Rjeki, gdzie go władze węgierskie aresztowały, gdy wniósł okrzyk: „„Zivila Hrvatska““; za rządów Bacha był on 12 razy aresztowany, Dr. Frank miał wówczas 9 lat, kiedy Barczic za sprawy Chorwatów rjeckich walczył i więzieniem był karany. Że sprawa narodowa w Przymorzu źle nie stoji, na to są dowody. W roku 1848 zabrały Rjekę wojska bana Jelaczyca. Wówczas Rjeka była miastem włoskiem; czytało się tam tylko włoskie dzienniki, mówiono po włosku, a Chorwatów uważano za barbarzyńców. Nienawiść ku Chorwatom rosła ciągle. Trzeba było odwagi garstki patryotów: Bieczana, Medana, Derenczina i kilku innych, aby wśród Chorwatów obudzić ducha patryotycznego. Działalność tych mężów, na czele których stał Barczic, obudziła całe Przymorze ze snu narodowego. Chorwaci rjeccy wystawieni byli przez cały szereg lat na niesłychany teroryzm ludności włoskiej i narodu madziarskiego, a dzisiejszy upadek na duchu wytworzyły nieporozumienia z niezgodą w obozie Chorwatów zacnych, którzy zajęci sporami i walką domową w niczem ich dążeń nie popierają wydali ich na pastwę wynarodowienia.“

K.

BADANIA NAUKOWE.

Zaściankowa geozofia.

(*Geozofia powstania i rozwoju kuli ziemskiej. Napisał Dr. Julian Weinberg z 88 drzeworytami. Warszawa 1894. Str. VIII i 328.*)

Jeżeli pojawienie się dzieła naukowego wogóle jest u nas rzadkością, to tembardziej pojawienie się dzieła geograficznego. Ten objaw wyjątkowy może wynikać z dwóch przyczyn. Może on być rezultatem siły międzynarodowego prądu umysłowego i ekonomicznego, którym nawet my możemy być porwani; wszakże nawet nomadzi Azyi centralnej, ci najbardziej typowi i najbardziej uparci reprezentanci zastoju, którzy niedawno jeszcze zapewniali Vamberego, iż łatwiej jest ziarnko lotnego piasku przygwoździć, niż ich skłonić do cywilizacyi — nawet ci nie mogli się oprzeć ogólnemu prądowi, wnikającemu do nich przez szyny kolejowe, cóż więc byłoby dziwnego, gdybyśmy my, umieszczeni w bramie przejściowej między dwiema częściami Europy, gdzie każdy krok wstecz, nawet każde zatrzymanie jest wyrokiem zagłady, gdybyśmy i my pojęli, że w obecnej fazie rozwojowej umysłowe i ekonomiczne życie odosobnione jest zarodem śmierci; że każde zjawisko narodowego życia na jakimkolwiek punkcie globu drgnięciem swem wywołuje kręgi fal, które odbiją się odpowiedniem drgnieniem we wszystkich punktach pozostałych i zdławią, zaleją nieprzygotowanych; gdybyśmy pojęli, że w tym wspólnym życiu całego globu, to znaczy w tym szalonym wirze zażartej walki na wszechświatowej arenie, jednym z najskuteczniejszych orężów, jedną z najpewniejszych kierowniczek jest wiedza geograficzna w szerokim tego słowa znaczeniu. Oto jeden możliwy motyw pojawienia się u nas dzieła geograficznego, motyw, który, gdyby się urzeczywistnił, byłby niezmiernie pocieszającym.

Ale możliwym, a niestety i bardziej prawdopodobnym jest motyw drugi. Wśród przeciętności i zaściankowości naszego życia umysłowego zjawiają się nieraz umysły od przeciętności różne, noszące jednak na sobie klątwę zaściankowego pochodzenia; są to samorodni filozofowie, oryginały, czasami nawet bziki; różnią się oni od przeciętnego otoczenia skłonnością do myślenia, ale nie posiadają czucia z ogólnym rozwojem myśli ludzkiej; niezdolni do samooceny, uniesieni dumą rzucają się śmiało na odkrycie perpetuum mobile lub Ameryki, nie wiedząc o tem, że odkrycie pierwszego jest niemożebne, a drugiej niepotrzebne, nie wiedząc że nawet, gdy starają się skromnie dokonać jakiegoś odkrycia możliwego i potrzebnego, to i wtedy odkrycie ich nie może mieć żadnego dla nauki znaczenia, albowiem tym mniemanym, „swojskim“ geniuszom brak odpowiedniego do tych odkryć przygotowania. W pierwotnym stadyum nauki, gdy istniał dopiero jej parter, każdy profan mógł wstąpić do tego gmachu i położyć w nim swój kamyk, lecz dziś inaczej: dziś gmach ten stał się już olbrzymem, wkraczającym w obłoki, dziś dla położenia swego kamienia trzeba przebyć wszystkie piętra gmachu i stanąć na szczycie; trzeba więc być wdrożonym do wielkich wysokości i szerokich horyzontów — trzeba mieć i oddech głęboki i oko pewne, i głowę niezawrotną. Mówiąc krótko: motywem pojawienia się u nas dzieła geograficznego może być ekscentryczność, dziwactwo, bzik!

Ten drugi motyw pojawienia się dzieła geograficznego w kraju, gdzie prace geograficzne, liczące się z nauką, leżą w rękopiśmie lata całe, a nikt nie pojmuje potrzeby ich wydania, a nawet ci, których to jest obowiązkiem; w kraju takim, powiadamy, ten drugi motyw jest prawdopodobniejszy, a prawdopodobieństwo to stwierdza wyżej zatytułowana książka jak to zaraz zobaczymy.

Książka ta mianowicie jest stekiem 1. faktów błędnych, 2. poglądów przestarzałych lub bezsensowych i 3. odznacza się ideą przewodnią czyli metodą taką, dla której określenie n i e n a u k o w a, byłoby zbyt delikatne.

Twierdzenie powyższe musimy zilustrować niektóremi przykładami.

Góry według autora zostały „usypane przez prądy morskie“. które przytem pożłobiły w nich różne esy i floresy, kręty i zakręty“ (str. 111, 112).

Doliny i jeziora powstały wskutek rozciągania się i pękania skorupy pod morzem, jeziora więc takie, jak Genewskie, Königssee itd. są pozostałościami morza (autor ani się domyśla, że Forel na podstawie studyów wieloletnich napisał wielkie dzieło o jeziorze genewskiem), jak tego dowodzi barwa wody! sposób argumentowania przypomina owego samorodnego lekarza, co radził bladym pić barszcz burakowy, aby nabrali rumieńców!)

Planety krążą po elipsoidach, t. j. prawie

---

najosobliwiej sztabs-kapitanów) zesłał Pan Bóg takie gorąco, takie upały, jakich nigdy jeszcze niedoświadczono o tej porze w siedleckiej szerokości geograficznej. Żar leciał z nieba na ścierniska, na badyle kartofli, a przedewszystkiem na tę szosę przeklętą. Stąpanie całego pułku ludzi, kilkudziesięciu koni, ciągnących furgony, kuchnie, szpital i oficerskie wozy, wzbijało kurz niewidziany i niesłyszany. Przynajmniej ja nie miałem wyobrażenia o czemś podobnem. Czapka, tornister, spodnie i buty towarzysza, postępującego tuż o krok przedemną zlewały się z otaczającym kurzem tak zupełnie, że stanowiły tylko jak gdyby twardą, zbitą, skonsolidowaną bryłę tego samego żywiołu. W skąpem, szarem polu ciemnemi kresami znaczyły się jedynie lufy i bagnety karabinów. Ludzie szli jak automaty, a stękali jak bydło. Każdy z nas miał oczy zamknięte, a nos zupełnie zatkany barykadą pyłu, wskutek czego oddychał otwartemi ustami i otwierał je raz za razem. Doznawałem ciągle złudzenia, że gardło mi się rozdęło, że jest daleko grubsze niż głowa, i że mi się w niem żyły lada chwila porozdzierają. W skroniach czułem nieznośny ból za każdym krokiem, jakby ktoś gibkim, cieniutkim, wiklowym prętem chłastał mię zcałej mocy w temiejsca czaszki. W płucach literalnie wyczuwało się ziarna piasku, no, a w mózgu panował zamęt całkowicie waryacki. Koledzy moi nie szamotali się tak bardzo. Szli mniej więcej przykładnie, a mdlał zaledwie jakiś czterdziesty, pięćdziesięty, Za to „kurzą ślepotę“ będą mieli w tym roku, zdaje się, wszyscy. Najłagodniejsze wzniesienie gruntu, najbardziej nieznaczne dźwiganie się drogi ku górze tak dalece powiększało fatygę jakby się człowiek wdrapywał na stromą wyniosłość. Pot leje się strugami, rynnami, kanałami, wodospadami... Tornister odparza plecy, wskutek czego formują się tam grupy wrzodzianek, niesłychanie dokuczliwych; nogi bolą, człowiek cuchnie i uczuwa fizyczny, nieprzełamany wstręt do sąsiada; w ustach niema śliny, a język niby zeschnięta, chropawa drzazga obciera się o potrzaskane wargi i szorstkie dziąsła. Smugę szosy, wysłaną miękką i grubą na kilka cali warstwą pyłu, zakończoną po obu brzegach obrębem spalonej murawy, upiększają i urozmaicają tylko pryzmy tłuczonych kamieni i słupy wiorstowe. Pryzmy i słupy, pryzmy i słupy!...

Gdy daje się słyszeć odgłos kroków i turkotu furgonów, — to znaczy, że idziemy przez las.

Kto może wytęża wówczas wzrok i przez zasłonę pyłu stara się przynajmniej zdaleka cień zobaczyć. Ale dostrzega tylko nikłe sylwetki figur drzew i nic więcej Jednem słowem — istota tak nadzwyczajnie inteligentna, jaką ja jestem — zmuszoną była przez władzę do naśladowania uczuciami, pragnieniami i popędami (jeżeli już nie wypada się przyznawać, że myślami) koni, baranów, owiec, wołów (jeżeli już nie wypada się przyznawać, że i osłów). Istota tak nadzwyczajnie inteligetna pragnęła porzucić karabin, zdjąć mundur, czapkę, buty et caetera, oddać komu należy wszystko, co należy do cekauzów cywilizacyi — i w sposób chociażby najpierwotniejszy, najwyraźniej stwierdzający teoryę ś. p. Darwina — pójść do lasu na trawę.

Wytężałem wszystkie siły, żeby wyrtwać do końca. No i nie wytrwałem. Chwyciły mię mdłości i obaliłem się na ziemię. Zawołano felczera i ten mię odprowadził do woza z czerwonym krzyżem. Takie wozy idą na samym końcu pochodu już w stosunkowo mniejszym pyle. Wydostawszy się na nieco lepsze powietrze, oprzytomniałem jako tako i mogłem iść dalej. Wymijały mię furgony, wozy z różnemi żonami oficerów, bryki pułkowe, okryte budami z żaglowego płótna i t. d. Opuściwszy uszy, lazłem w cieniu jednego z takich wehikułów krokiem wcale nie podoficerskim i melanholizowałem sytuacyę, gdy wtem tuż nad mojem uchem rozległ się wesolutki okrzyk:

— *Kikiryki!*...

Z oburzeniem podniosłem oczy do góry i ujrzałem wysuniętą z budy twarz Wilkina. Uchylił brzeg płótna i przypatrywał mi się jednem okiem bardzo poważnie.

elipsach. W paraboli dwa boki są równoległe. Kopernik dowiódł dopiero kulistości ziemi! Spłaszczenie ziemi wynosi $^1/_{299}$ osi (autor ma na myśli spłaszczenie Bessla i oś wirowania), Afryka ma największe wyniesienie we środku, Chińczycy stoją najwyżej wśród ludzkości pod względem wiedzy.

Wobec tego nie ma już co wspominać n. p. o błędach tego rodzaju, jak n. p., że epoka lodowa była wynikiem wilgotnych wiatrów, wiejących od mniemanego trzecio- a nawet czwartorzędnego! morza Saharskiego; że głazy mamutowe naszej równiny zostały przyniesione przez fale oceanu i t. p.

Teraz parę przykładów na bezsensa i dziwactwa:

„Komety są przejściem od idei do materyi“ —; Cieplik jest iście materyą przez zmysły poznaną. Idea nie morze być skojarzona z materyą zmysłową“. — „Tylko eter kosmiczny pozbawiony cieplika mógłby być doprowadzony do takiej gęstości, aby wytworzył rozpalone słońce, jak woń róży wytworzyła olejek różowy“ — „Ludzie powstali drogą samorodztwa (jak n. p. pasorzyty na ciele ludzkiem) na wysokich górach i byli początkowo drobni jak dzieci: potem powstały małpy, dalej zwierzęta roślinożercze, wreszcie mięsożercze, *celem* ograniczenia zbytniego rozrodzenia się roślinożerczych.“.

Ostatnia uwaga prowadzi nas do idei do metody autora. „Mając wstręt do cyfr“ autor nie argumentuje, jego metoda badania polega na „głębokiem przekonaniu, ufności i wierze“; dla dojścia przyczyny jakiegoś zjawiska, dla rozstrzygnięcia kwestyi spornej autor stawia sobie pytanie: *jaki to zjawisko może mieć cel dla człowieka*, przytem charakterystycznie to formułuje: „Czy Bóg stworzył tabakę dla nosa, czy nos dla tabaki“? Naturalnie odpowiedź nie może być dwuznaczną. A więc: soli dla tego jest na ziemi dużo, aby ją bydło mogło lizać i służy na pożytek człowiekowi; żelaza jest dużo, aby człowiek miał z czego wyrabiać narzędzia. Wulkany dla tego wybuchają, aby dostarczyć kwasu węglanego, wzmódz roślinność i tym sposobem mieć pieczę o pożywienie człowieka, dostarczyć mu „chleba powszedniego“. Ziemia nie kurczy się, jak mylnie sądzą uczeni („szkoda słów na obalenie takiej budowli z kart“), lecz powiększa się, a gdzie argument? prosty, trzeba być hebesem by go nie widzieć: wszak ludzie się mnożą (autor „tulenie się cząstek i mnożenie“ uważa za kategoryczny imperativ świata), więc ziemia musi się powiększać, by im dostarczyć miejsca: zwiększanie się ilości ludzi a zarazem zmniejszanie się ziemi uważa autor za bezsen godny półgłówków. Podobnie autor twierdzi, że energia słońca wciąż się powiększa, aby nasi potomkowie mogli sobie na Franz Joseph-Landzie budować takie wille, jak my dziś w Abazyi.

Z tego ustanowionego przez siebie porządku świata autor jest tak mocno zadowolony, iż wykrzykuje: „zaprawdę, gdyby mnie danem było nową kulę ziemską stworzyć, korzystałbym z dobrego przykładu, jaki obecna kula przedstawia.“

Z taką metodą badania autor spóźnił się nieco; metodę taką mamy z dziejów nauki, mianowicie z jej stadyów dziecinnych lub ze stadyów zaćmienia; metoda taka doprowadzała „upadających“ do takich niewzruszonych wniosków, jak n. p., że lądu musi być na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby Bóg mógł się mniej troszczyć o miejsce dla człowieka niż dla ryb, — że deszcz dla tego nie pada na pustyniach, gdyż tam ludzie nie mieszkają — że rzeki dla tego płyną pod wielkiemi miastami, aby ludzie mieli poddostatkiem wody itd. itd.

Zresztą nie wątpimy, że i dzisiaj autor nie pozostanie odosobnionym: znajdzie on uznanie u dusz pokrewnych, których szczególniej u nas nie braknie: — są u nas ludzie, których siły były za słabe do wytrzymania w cywilizacyjnym wyścigu, którzy na „schyłku wieku“ ulegli „bankructwu umysłowemu“, zerwali z „marną nauką“ (no, jak czyja!) i zwrócili się ku uczuciu, „legendom“ i misteryom, szukając tam ucieczki, niby znużony struś w piasku, lub niby Australczyk, który skończywszy uniwersytet, ucieka na pustynię, by tam razem ze swymi dzikimi braćmi chodzić nago, spożywać padlinę i czcić węże, a w rezultacie tego — ulédz zagładzie pod miażdżącym rydwanem cywilizacyi.

My jednak nie jesteśmy zwolennikami porzucania zdobytych pozycyi i dla tego sądzimy, że jakkolwiek według zapewnienia autora „przyroda była dlań łaskawą i otworzyła mu drobną szparkę w ciemnej i gęstej osłonie, zachęcając do szperania“, to jednak ta zachęta na nic się nie zdała. Widocznie autor, który, jak nas zapewnia w przedmowie, zwiedzał liczne źródła lecznicze i tam nabył swych idei geologicznych, nie natrafił dotąd na źródło skuteczne.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowi ludzie.

(Wilhelm Feldmann: „Nowi ludzie“ Studyum psychologiczno-społeczne. Kraków 1894. 2 tomy.)

Pan Wilhelm Feldman należy do tych nierzadkich wcale w literaturze pisarzy, którzy mimo przychylnego przyjęcia, jakiego doznają zawsze u krytyki, pozostają przecież na uboczu.

Mimo młodego stosunkowo wieku może p. F. wykazać się wcale pokaźnym dorobkiem powieściowym. Siedm tomów (nie licząc najnowszej powieści) toć przecie coś znaczyć powinno: tem bardziej, że treść ich wcale nie banalna. A jednak, kto zna wszystkie utwory pana Feldmana, czy zdziwi się, że autor nie zyskał popularności pomimo pobłażliwej z początku, ale po tem naprawdę pochlebnej krytyki?

Właściwą dziedziną, na której p. F. uzyskał pierwsze ostrogi literackie i która niezawodnie najlepiej opowiadała warunkom jego talentu — były szkice z życia ludności żydowskiej w Galicyi. Źródłem ich były zwyczaje i wierzenia masy żydowskiej, zamieszkującej miasteczka wschodnio-galicyjskie. Był to istotnie dla beletrysty, szukającego nowych zjawisk i wrażeń, nietknięty dotąd w naszej literaturze prawie zupełnie, a wyzyskiwany w celach ubocznych i społeczeństwu naszemu nieprzyjaznych przez powieściopisarzy niemieckich (Sacher Masocha i Emila Franzosa), którzy utworami swymi, osnutymi na tle życia żydowskiego w Galicyi, wywołali w literaturze niemieckiej sensacyą niemałą. Świat pojęć i zwyczajów, tak różny od nowoczesnego — a tak zarazem ukryty zazdrośnie przed okiem zwykłego laika, że nader mała wiązka autentycznych wiadomości o nim mogła się dotąd przedostać nawet do badań etnograficznych — stał dla pana Feldmanna otworem. Głęboka znajomość rzeczywistych stosunków, pojęć i obyczajów tej kilkusettysięcznej ludności, poparta szczerą tendencyą wyświetlenia prawdy i uchylenia z niej niepotrzebnej zasłony — mogła dla talentu Feldmanna stanowić silną podstawę powodzenia.

Pierwsze jego utwory na tle życia żydowskiego osnute jak „Piękna Żydówka“ i „Ży-

---

— Wymioty cię stargały, republikaninie? — zapytał po upływie sporej chwili czasu.

— Doktora już widzę wódka stargała do reszty! — odciąłem się z gniewem.

— Słyszane rzeczy? To maleństwo już się umie gniewać. Ktoś mi rozpowiadał, że on nie tylko potrafi ubliżać, ale się nawet już kocha bez wzajemności, — nie wierzyłem, a to jednak najoczywistsza prawda. Piszesz do Izmaiłowej ballady, czy sonety?

— Ja piszę tylko satyry na głupców.

— Bardzo dobrze, moje dziecko. Tak postępowali najwięksi poeci. Jak tylko Beatryks poszła za pierwszego lepszego naczelnika straży ziemskiej i straciła swój czas, co właśnie ma miejsce w historyi twej miłości, — zaraz pisali satyry na głupców, z pychą wieszczom właściwą, siebie stawiając na pierwszem miejscu w tym szeregu...

— Jakże to drogą doktór przyszedłeś do posiadania takich sekretów? — zapytałem, zdaje się, ze łzami w oczach.

— Sekretów? Toż szczęśliwy Izmaiłow przez tydzień latał z tą wiadomością po całem mieście, jak kot, gdy mu ogon wszczepić w patyk. Podobno naczelnika dywizyi drogą urzędową zawiadomił o pomyślnych skutkach zabiegów około powiększenia zastępów wielkiego rosyjskiego ludu, który, jak ci zapewne wiadomo, odrodzi i uszczęśliwi w niedalekiej przyszłości „zgniły zachód“.

— I cóż ty na to, Romeo?

Nie odpowiedziałem ani słowa.

— Słuchaj, ty Zych, — ciągnął dalej, — u was wszystkie Julje takie łakome na odgniłe nosy moskiewskie? Jeżeli tak — to twoje sonety i elegije oceniam suma sumarum na — grosz. Niema innej rady, tylko pluń, przejdź na prawosławie, albo, nie zwlekając, zakochaj się w Minnie Kupferschmidt. Ona pochodzi z tego samego narodu, co Henryk Heine... Rozumiesz: klin klinem. A zresztą — jaki ty nudny jesteś z romantyzmem i z „polską intrygą“ i z temi uczciwemi oczami. Żeby ciebie już raz z pułku djabli wzięli! Kiedy się od nas wyniesiesz nareszcie?

Ponieważ wcale mu nie odpowiadałem, więc cofnął się w głąb budy. Szedłem obok jego wozu aż do miejsca t. z. dniówki.

(*Dokończenie nastąpi.*)

2)

MAJAK.

Czy znajdzie?

(*Ciąg dalszy.*)

Tak było zawsze pomiędzy nami. Była to jedna z ostatnich mych z nią rozmów. Krótko potem wyjechałem z Warszawy do mego S. i widzę, że mi szczebiotu panny Klary brak tutaj. — Patrzę codzień na córy teutońskie, — pulchne one, białe, jak gąski pomorskie wypasione. Eh! wszystkie ich wdzięki razem nie starczą za uśmiech koralowych ust panny Klary. Są tu pomiędzy niemi panny kształtnie w torsie utoczone, lecz nie ten układ, ten wdzięk, co u panny Klary. A wyraz oka, a ten uśmiech, skądże go z was ma? Naśladuj piękna Greto — piękności modna tutejszych wód — chód lub ruch

dziak“ oraz drobniejsze utwory n. p. „Ofiary“ „Cuda i dziwy“ stanowiły zapowiedź nader korzystną dla dalszej w tym kierunku twórczości autora i spotkały się też z bardzo życzliwem przyjęciem poważnej krytyki.

Niestety, upodobania publiczności i autorą widocznie nie szły w parze z sądem krytyków i p. Feldman, osądziwszy, iż „zasklepianie się“ w sferze tak mało ponętnej dla szerokiego koła czytelników nie przyniesie mu ani dostatecznego ich uznania, ani mu popularności wobec wiejących w Galicyi prądów nie przysporzy, puścił się na pełne morze obserwacyi życia współczesnego, które oczywiście także niemało nastręcza materyału do powieści.

Takim sposobem powstała u p. Feldmana myśl napisania większej powieści na tle kwestyi małżeńskiej. Uzbrojony w aparat poważnych i racyonalnych poglądów, przystąpił od razu do dzieła i z doktryn swoich wysnuł dwutomową „powieść obyczajową“ p. t. „W okowach“, która jednak nie obudziła oczekiwanego wśród kobiet zajęcia, a pomimo kilku pochlebnych głosów krytyki, nie miała wcale powodzenia. — Pierwsza ta-próba nieudała się, nie zniechęciła jednak autora; w półtora niespełna roku po wydaniu ostatniej powieści występuje p. Feldmann obecnie w dwutomowem „studyum psychologiczno-społecznem“, które ma mu stworzyć podstawę swobodnej twórczości pisarskiej.

„Nowi ludzie“ to dzieło talentu młodego, szukającego jeszcze właściwej dla siebie drogi i niezdecydowanego w jej wyborze. Czy ten brak decyzyi u autora, który już posiada pewną przeszłość w literaturze, ma świadczyć niekorzystnie o sile jego talentu? Nie sądzę. Jest to objaw dość zwykły w warunkach, w jakich p. Feldman zawód pisarski rozpoczął, a zrozumiały zupełnie u samouka, który wszystko co wie i umie sobie wyłącznie zawdzięcza i w wątpliwości nieraz różnych dróg się imać jest zmuszony.

Od poprzedniej powieści wyróżnia się najnowszy utwór p. Feldmana korzystnie przedewszystkiem podkładem obserwacyjnym. O ile „W okowach“ znać było na każdej niemal stronnicy zupełną nieznajomość autora opisywanych przez niego stosunków, brak wszelkiej informacyi o głównych motywach działania bohatera i bohaterki, którzy czynili wrażenie *homunculusów*, ulepionych ze sztucznej gliny, — o tyle przebija w najnowszej powieści p. Feldmanna dokładna znajomość stosunków opisywanych, a występujące w niej osoby wydają się postaciami wziętemi z rzeczywistego życia i zaobserwowanych istotnie przez autora.

„Nowi ludzie“, to — młodzież galicyjska, młodzież ucząca się, a właściwie, ta jej część, która przed kilku laty na wszechnicy jagiellońskiej rozpoczęła rzeźwo pracę społeczną, płodną już dzisiaj w skutki ważne i doniosłe. Nowi ludzie — to zbiorowisko jednostek zapalonych do wielkich idei wolności i pracy dla społeczeństwa, z którego wychodzą ludzie woli i czynu. Pan Feldman, który temu okresowi życia młodzieży na uniwersytecie lwowskim miał sposobność przypatrzyć się z bliska, nie dojrzał wśród niej ani jednego typu niesympatycznego. Wszyscy młodsi obywatele wydali mu się zarówno godnymi szacunku jak i sympatyi. Różnili się między sobą stopniem wykształcenia, siłą woli, szerokością myśli, głębokością inteligencyi, ale wszyscy brali rzeczy na gorąco, zapalali się szczerze do wymarzonych haseł, nosili w duszy obraz ideału, niezbyt może jasny i dokładny, ale czczony jak świętość i niczem nie skalany.

Mimo to bohaterem powieści p. Feldmana, a właściwie główną jej podstawą, około której autor usiłował skupić całą akcyą, którą chciał uczynić jej punktem środkowym — jest młodzieniec o najnikczemniejszych instynktach, istny wyrzutek społeczeństwa, który sprytem i podstępem, nie przebierając w środkach, umie usidlić — starszą generacyą i sympatyą młodzieży wyzyskać na jej szkodę dla siebie. Puchaczewski, pisarz adwokacki, potem płatny donosiciel, w końcu „przywódzca“ młodzieży, ulubieniec „spokojnego obywatelstwa“, przyszły redaktor i trybun ludowy — a w rzeczywistości zwykły szubrawiec nie cofający się przed niczem, nawet przed kradzieżą, gdy idzie o wykonanie sprytnie obmyślnanego planu, — jest w pierwszej części powieści pana Feldmana figurą pierwszoplanową, około której grupują się postacie innych osób z pośród młodzieży i niemłodzieży: w drugiej atoli części ustępuje z planu pierwszego i usuwa się na dalszy, a miejsce jego zajmuje prawdziwa bohaterka powieści — młodzież.

Życie tej młodzieży, jej walki o teorye i zasady, staczane z całym zapałem, szczerością i przejęciem się dla wyznawanej idei — stanowi treść powieści. Przygody Puchaczewskiego, skreślone na tem tle i odbijające od niego jak plama czarnego błota na śnieżnej bieli — mają znaczenie epizodyczne wbrew intencyom autora, który, zdaje się, pragnął w powieści swej przedstawić swojską odmianę karyerowicza w rodzaju „*Bel-Ami'ego*“ Maupassanta. Jego Puchaczewski, to postać rzeczywiście wzięta z życia, nawet zbyt silnie przypominająca oryginał, który wśród galicyjskiego małomieszczaństwa nie dawno głośną a smutną odegrał rolę, ale tylko dzięki temu właśnie podobieństwu prawdopodobna — bo prawdziwa. Tak samo jak Maupassantowi dopóty nie wierzono, iż w *Bel-Ami'm* stworzył karykaturę dziennikarza, dopóki nie okazało się, iż karykatura ta jest wiernym zdjęciem z rzeczywistości; tak samo spotkałby niezawodnie p. Feldmana zarzut niezwyczajnej przesady, gdyby nie żywo tkwiąca w pamięci ogółu postać jego pierwowzoru. A zarzut byłby tembardziej usprawiedliwiony, że p. F. poprzestał na czysto zewnętrznej karykaturze Puchaczewskiego i nie pokusił się nawet o odmalowanie psychologicznych przejść, któreby czytelnikowi, nie znającemu prawdziwej historyi jego „bohatera“ umożliwiło wiarę w istnienienie podobnych indywiduów i w możność ich powodzenia wśród „zdrowego dzięki Bogu i niezarażonego zgniłymi wpływami przewrotu“ społeczeństwa.

Okoliczność ta niezawodnie obniża wartość artystyczną powieści, ale nie odbiera jej interesu aktualnego, a ten miał p. F. zapewne przedewszystkiem na celu.

Niezależnie od kolei, przez jakie w powieści p. F. przechodzi Puchaczewski, przesuwa się przed oczyma czytelnika szereg wdzięcznych, nieraz ponurych obrazków z życia młodzieży galicyjskiej. Prądy swojskie i przeniesione z zachodu, uznane i zabronione, praktyczne i ułudne, nurtują tę młodzież i wywołują wśród niej ciągły, nieustający, niemal gorączkowy ruch. Sprawy studenckie, spory lokalne, interesa osobiste, obchodzące tylko samą młodzież, wzrastają w oczach ich do spraw pierwszorzędnej wagi, na których tak zwrócone są oczy całego świata, a co najmniej całego narodu; i na odwrót sprawy ogólne, zatargi społeczne i polityczne, leżące zupełnie po za obrębem uniwersyteckich programow znajdują oddźwięk w umysłach i sercach młodzieży, stają się dla niej sprawą własną niemal osobistą w jej pojęciu. W ten sposób wytwarza się pomiędzy młodzieżą a społeczeństwem pewna łączność w działaniu, pewne poczucie solidarności. Walki, toczące się w łonie społeczeństwa, walki stronnictw politycznych i klas społecznych, znajduje odbicie swoje w gromadzie młodzieńczych zapaleńców, wierzących w swoje powołanie do współdziałania, do udziału w walce życia, ba, w wyjątkowe swoje w tej walce stanowisko!

Obok szkodliwych skutków politykomanii, będącej tak wyłączną cechą młodzieży narodów uciśnionych politycznie, wywiera to gorące przejęcie się sprawami publicznemi także korzystny wpływ na kształcenie się pojęć i wyrobienie zasad młodych obywateli. U wielu niezawodnie ta era burzliwej młodości przemija szybko i szyję niejednego radykała studeckiego zdobić potem będzie haftowany kołnierz hofrata; — u niektórych atoli rozbudzona świadomość bez-

---

panny Klary! — Parodya! Ach! gdyby ona chciała tu przybyć!

Dzikie żądanie! Dla mnie przecież nie przybędzie, a gdyby nawet rzecz niemożliwa stała się możliwą — to ona przecież nie wie, że ja tu jestem. Mówiłem jej, że jadę do Ostendy. Zdziwiła się niezmiernie i zapytała, czy jaki wujaszek z Ameryki nie zapisał mi milionów. — Pamiętam dokładnie jej uśmiech. Gdyby ona tak znała dobrze stan mego serca jak wiecznie chromających finansów — to możeby już nastąpiło wielkie wyśmianie ze strony papy fabrykanta i salto mortale ze śmiertelnym skutkiem w żółte fale Wisły. Byliśmy en bon camarade, wiedziała, że moje ruble, choć z papieru, nabierają zawsze niebezpiecznej ruchliwości — puchy marne! Opowiedziałem więc, zkąd złoty deszcz na mnie spadł i jakie do tego dołączono warunki. Przyrzekła czytać moje korespondencye z Ostendy — i ani razu nie usnąć przy nich. One miały wyjechać z matką do Nicei. Lecz namyślę się jeszcze — dodała — może się skończy na wyjeździe na wieś.

Gdy odchodziłem przestrzegała mię, bym jakiej kreolki nie przywiózł ze sobą do Warszawy. — Wiem do czego odnosił się ten przytyk — ale nie zdradzę.

— A proszę nie bałamucić tak jak tu, no po przyjaźni.

Gdyby była wiedziała w jak niebałamutne strony się udaję?

Odrzekłem jej, że już nie mogę się zakochać.

— Blasé! Starzec! adieu! Drzwi zamknięto mi przed nosem.

Niezrozumiała mię. Nic nie szkodzi — nam z tem dobrze. Mnie tylko o to chodzi, żeby jak najdłużej utrzymać ten stan zawieszenia, wolę tak żyć bez żadnych do niej praw, jak doprowadzić do wybuchu, którego skutkiem musiałoby być zerwanie stosunków. Mam napisać wiersz dla niej, a nowelę dla mego naczelnego! Pierwsze bagatela! Bo dla czegoż nie chce wyjść za mąż. Czyżby to tak trudno było odgadnąć? Czasu mam dosyć na rozpatrzenie się w sytuacyi. Albo się nie kocha, o czem wiem na pewno — albo jest zakochaną. Do takich wniosków tylko dojść mogę, lubo dziwnie się ostatni wydaje wniosek nieprawdopodobnym. W kim ona mogłaby się kochać? We mnie nie — o tem jestem przekonany — za mało na seryo mnie bierze. Czyż kim innym miałaby być zajętą? Przebóg! na to nie pozwolę nigdy! przenigdy! Mną nie potrzebuje się zajmować, ale nigdy nie pozwolę na to, żeby inny był bliższym jej serca niż ja. Egoista ze mnie straszny! Po cóż ja sobie głowę łamię nad zagadkowem sercem mojej kapryśnej panny Klary. Nie wychodzi za mąż bo... bo może ja odstraszam konkurentów. I to nieprawdopodobnem, bo przecież było ich kilku, a ileśmy się z nich naśmiali, chociaż niejeden z nich był bardzo poważnym człowiekiem. Ile razy dowiedziałem się, że taki niebezpieczny bywał u nich, tyle razy byłem smutniejszym. Wtenczas Klarka, jakby rozumiała przyczynę smutku, szczebiotać rozpoczyna i nucić o sercu, co nie chce mieć pana. Po takiej wesołości następował odkosz dla niebezpiecznego — a dla mnie spokój. Widzę, że wiersza rozwiązującego zagadkę, dla czego panna Klara nie chce wyjść za mąż, nie skleję. Nie taka to bagatelka. Mam jeszcze czas na to, jakoś to będzie. Gorzej z nowelą dla mego pisma. Od dni kilku chodzę z głową spuszczoną, myślami brzemienną, jakby z czoła mego wytrysnąć miała nowa Pallada. A tu nic a nic — ile razy głęboko się zadumam, zawsze romansuję w myśli z panną Klarą i w tej słodkiej zadumie czas miło mi schodzi, — póki mi znowu nie przerwie złotych marzeń myśl, jaki dać tytuł nowelce.

Z wrażeń mam ją pisać. Kiedy ja tu żadnych nie mam wrażeń. Mógłbym wprawdzie wysnuć mały romansik o pięknej Grecie i zblazowanym, lub pozującym na zblazowanie leitnancie w cywilu. Opowiadanie wypadłoby trochę realistycznie. Byłaby nawet niezła intryga. Herr von Unbeleckter, ojciec Grety proteguje widocznie asesora von Zahnlose z posiekaną na befsztyk buzią. — Mama zaś i panna

prawi i konieczności reform pozostawia ślady wybitne, często żyjące w całej sile i stanowiące pobudkę do działania. Są to zwykle najwybitniejsze umysłowo i najsympatyczniejsze charakterem jednostki. Ich to „działanie“ ich dyskusye, ich bole i nadzieje przedstawił pan Feldman w „Nowych ludziach“.

Wyliczać tu szczegółowo wszystkie momenta jego powieści, streszczsć choćby tylko epizody akcyi — wymagałoby zbyt wiele miejsca. Jest to bowiem raczej szereg obrazków i rozprawek „programowych“; związanych z sobą dość luźnie, aniżeli jednolita powieść o doskonale określonym planie. Obrazki te skreślone żywo i z temperamentem, rozprawki nużące może jednostajnością i niezbyt jasną argumentacyą, ale spisane z widocznem przejęciem i szczerością. Nieraz możnaby posprzeczać się nietylko z dysputującymi studentami, ale z samym autorem, wypowiadającym tu i owdzie nieumotywowane sądy i zdania dziwnej nieraz treści, zwłaszcza ile razy dla charakterystyki pojedyńczych postaci wynajduje w nich rzekomo dosadne właściwości. I tak n. p. „przemawia do wielu“ u jednego ze skutkiem „zdrowy jego ograniczony rozsądek“ (jakgdyby zdrowie i ograniczenie rozsądku były syamskiem rodzeństwem) (str. 115), inny „mimo powierzchownego (?) radykalizmu był przedewszystkiem dobrym chłopcem“ (str. 62), a gdy kolega kpi z jego fraka i lakierków, zaręcza „że jest uczciwym radykałem i pogardza wszelkiemi przesądami, a ubranie frakowe nosi poraz ostatni w życiu!“ (str. 52) i t. p.

Najgłębszą znajomość psychicznych stanów duszy okazał p. F. kreśląc postać Bolesława Larysza, wyobraziciela owej cząstki młodego pokolenia, która wymarzony w duszy ideał nie umie popodzić z rzeczywistością i w najgłębszem rozstroju zniechęca się do żywego udziału w masowem działaniu, wynagradzając sobie osamotnienie swoje bolesną a jednak rozkoszną samoanalizą. Jakaż olbrzymia różnica między tym rozumującym logicznie nad własnem cierpieniem dekadentem, a urojoną parą bohaterską z poprzedniej powieści pana F.: „W okowach“, u których słowa miały znaczenie czynów, a którzy sami sprawiali wrażenie lalek bez ducha. Larysz to istotnie żywy człowiek, a zdania jego, nieraz słuszne, charakteryzują dosadnie tę część młodzieży, której jest wyobrazicielem. Antytezą jego ma być Polakowicz. „działacz ludowy“ trochę demagog, człowiek czynu we własnem i autora rozumieniu, w rzeczywistości deklamator (nieświadomy), którego jedynym czynem w powieści jest zakochanie się i oświadczenie Maryi Laryszównej, siostrze kolegi, postaci sympatycznej, ale niezbyt wyraźnej. Uczuciowy żywioł reprezentuje Socha, zapalony wyznawca starych haseł w nową obranych formę, poeta kochający się na zabój w córce bogatego filistra i pisujący do niej natchnione ody, a przytem naiwny, jak dziecko. Obok niego Rumowski, natura życiowa, chłopak „o zdrowym ograniczonym rozumie“ (o czem wyżej) kpiący niemiłosiernie ze swego przyjaciela, a gotów każdej chwili dać się za niego porąbać. Wreszcie pocieszny filolog Malinowski, ograniczony kandydat na uczonego, którego jedynem marzeniem uzyskać dyplom doktora *sub auspiciis imperatoris*. Około nich tłum postaci mniej wybitnych, ale nieźle zarysowanych, jak Rajner, Bieliński i inni, a nad wszystkimi góruje postać tajemniczego apostoła nowych idei zachodu, zaznaczona kilku silnymi rysami. — Najbledszą postacią powieści jest Puchaczewski, którego przygody zajmują połowę powieści, ale on sam pozostaje — jak już zaznaczyłem — wbrew intencyi autora — na uboczu.

Abstrahując od wszelkich intencyi, któremi p. Feldman kierował się przy pisaniu „Nowych ludzi“ można ostatnią powieść jego nazwać dosadną satyrą mieszczaństwa galicyjskiego, którego przedstawicielom, występującym w powieści autor przeciwstawił młodzież. Nie brak zresztą w dziele p. Feldmana i pewnego — rzec można — momentu politycznego. Rola, jaką odgrywał w niej Puchaczewski wiąże się ściśle z wadami zaśniedziałego małomieszczaństwa, a obraz stosunków, panujących w tej sferze, prosił się prawie o ożywienie kilku postaciami bardziej „popularnemi“.

Istotnie spotykamy się w powieści pana Feldmana z typową „ekscelencyą“, gromiącą w kościele młodzież za śpiewanie „buntowniczych“ pieśni narodowych; z rzeźnikiem, czy też „fabrykantem kiełbasy narodowej“ Murgałowiczem, typowym kołtunem galicyjskim, mającym „od święta“ na uroczystych obchodach reprezentować „nasze poczciwe mieszczaństwo“ i kilku innemi postaciami, wiernie sportretowanemi z bruku stołecznej mieściny.

Okoliczność, iż pan F. wprowadził do powieści swojej osoby po części jeszcze żyjące „pośród nas“, po części zaś znane z „wybitnej swej działalności publicznej“ nie obniża jednak jej tonu. Autor umiał bowiem zachować odpowiednią miarę i z wyjątkiem może jedynej postaci Puchaczewskiego, z którą obszedł się niemiłosiernie (w każdym jednak razie z etycznego punktu widzenia sprawiedliwie) zaznaczył w innych to tylko, co rzeczywiście na nich było (lub jest) śmiesznego. Mimo tedy aktualności swojej — „Nowi ludzie“ nie mogą uchodzić za pamflet.

Zewnętrzne strony najnowszej powieści pana F. wyróżniają nader korzystnie z pośród dotychczasowych jego utworów. Co prawda nie obyło się i tym razem bez paru scen, obrażających dobry smak trywialnemi efektami, ale znikają one w szeregu pięknych i prostych obrazków. Styl pana F. grzeszy jednak ciągle zwrotami, sprzecznemi z duchem języka jak „wy to powiedzieli“ (str. 115), „faktem ale jest“ (II. 23); „że też“ (w znaczeniu: ponieważ!) (II. 54), „czy ty sfiksował“ (II. 169); lub świadczącemi o wielkiej niedbałości autora, jak n. p. „Miękki charakter, nadzwyczaj wrażliwy na wdzięki kobiece, stał się poetą salonowym (! II. 10), „pensyonarki, uczyły się go na pamięć“ i t. p. Wyrażenia jak „morowiec“, „dureń“, „wyharatać“ etc. — skoro pojawiają się zbyt często w książce tracą cechę „oryginalną“, a stają się niesmaczną przyprawą stylu; a już zupełnie obrzydzenie wywołać mogą porównania w rodzaju użytego przez pana F. (na str. 44 drugiego tomu) w zdaniu: „Jak ta kobieta od razu upadła w jego oczach do znaczenia brzydkiego, zaślinionego mięsa...“ (sic!) Jeśli to się nazywa realizmem (w pojęciu p. F.) to chyba Zola nie był nigdy naturalistą!

Zresztą przesadza p. F. nietylko w porównaniu i w malowaniu sytuacyi. Niektóre sceny jego powieści są nieprawdopodobne, lub też wprost niemożliwe, jak n. p. schadzka arystokraty z cudzą żoną, lub scena między Puchaczewskim a Sochą, gdy ten żąda zwrotu ukradzionych mu przez pierwszego i jako własne przez niego wydanych poezyi, albo wreszcie spotkanie się Sochy z panią Michalską. Zarówno te usterki jak i inne są podrzędnej natury i na wartości powieści pana Feldmana wielkiego może wpływu mieć nie będą, jednakowoż wynikają one z niedbałości i wytknąć mu je należy. Pan Feldman bowiem w „Nowych ludziach“ pokazał, że talent jego od czasu wydania nieudatnej powieści małżeńskiej rozwinął się znacznie i oparłszy się na podmiotowości a bezpośredniej obserwacyi może kiedyś stworzyć rzecz trwałej wartości...

D. Ign. Suesser.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

W Wiedniu Leon Sapieha zawiadomił pana Koźmiana, iż rząd austryacki zarzuca Napoleo

---

są za lejtnantem von der Hoffnungsvoll. Papa widocznie jest tyranem, bo Gretchen w jego obecności grucha na piękne z asesorem, a asesor pokazuje swoje wprawione zęby i opowiada rozmaite „Schnurren“ z piwiarni — co bynajmniej nie przeszkadza Gretce miewać poetycznorealistyczne schadzki z lejtnantem. Poetyczne, bo księżyc na nie patrzy i ja, a realistyczne, bo zachodzą w nich takie momenta, że się często od nich odwracam — z zazdrości. Znakomite mam obserwatoryum z mego okna na altankę, miejsce ich schadzek, zwróconą wejściem ku mnie. Że też ci zakochani sądzą, że tylko księżyc na nich patrzy. Wiem, jak się to wszystko skończy, będzie scena, lejtnant wyliczy papie swoje długi, papa zapłaci, zapewni zwyczajowy posag, panna zostanie lejtnantową, a asesor będzie dalej pił piwo i opowiadał przy stole w swej restauracyi, że byłby się o mały włos ożenił. Jakie to nudne! Der Hans liebt die Grete, die Grete den Hans i t. d. Ładnie by na mnie naczelny mój spojrzał, gdyby przeczytał utwór pełen westchnień o księżycu i czułości ckliwej, niemieckiej. Poświęciłem dni kilka czasu na wycieczkę w okolicę S., szukałem tematu. Sądziłem, że między ludem znajdę motywa do mej noweli. Przecież tam jest siła, pierwotność, tam uczucia jeszcze goreją, tam powinny wybuchać siłą wulkaniczną. Przecież tylu pisarzy i nowelistów czerpie z tego źródła motywy do swych utworów. Widocznie mają więcej spostrzegawczego zmysłu, szczęścia lub fantazyi.

W powrocie z mej wycieczki przychodzę trochę zmęczony a przedewszystkiem zniechęcony, z jakimś ciężkiem, ołowianem ciśnieniem na mózg, z jakąś apatyą jesiennej, dżdżystej pory na duszy, z jakimś nieokreślonem głosem wewnątrz, który drwi ze mnie i woła do mnie „idyota“, na dworzec kolejowy. Wolno sunę się ku wagonom. Jest wieczór, dworzec słabo oświetlony, ruchu mało, gwaru żadnego, tylko o kilkanaście kroków przedemną syczy i sapi lokomotywa. Było mi obojętnie, do którego coupé się dostanę, byle był próżnym. Stało się przeciwnie. W oknie jednego z przedziałów zabłysła mi postać kobiety, spojrzałem uważniej, zainteresowałem się nią — sądziłem, że jest samą, wnętrze przedziału zasłaniała sobą. Położyłem rękę na klamce, wstąpiłem na stopnie i spostrzegłem teraz dopiero za nią jakiegoś gagatka 20-letniego. Usiadłem wygodnie w kącie przedziału, rozglądając się po towarzyszach podróży. Kobieta była młoda i bardzo przystojna; toaleta, układ i ruchy były dość wykwintne. Wzrok jej nic nie miał wyzywającego, w ubiorze jej nic nie było, coby podpaść mogło — strój czarny, skromny. A jednak wahałem się, do jakiej kategoryi kobiet ją zaliczyć. Czemu? Podpadło mi, iż jechała w towarzystwie wyrostka, który bratem jej nie był, — od razu to poznałem. Pociąg ruszył. Obserwowałem dalej. Wyrostek ubrany był pretensyonalnie — oceniłem, iż jest synem bogatego kupca kolonialnych towarów, pracującego w składzie ojca. Domysł mój potwierdzały ręce grube i czerwone, jakby opuchłe z powodu częstego odmrażania. Zresztą zrobił na mnie wrażenie cielęcia w cylindrze.

Jeżeli zaś nie był bratem panny w równym wieku, lub cokolwiek starszej, o rysach prawie szlachetnych, byłżeż więc jej narzeczonym lub też tylko przyjacielem? Hm! Wietrzyłem tu jakąś tajemnicę; może to ucieczka — a w każdym razie droga do owoców zakazanych, na którą wprowadził kobietę błysk złota, — wyrostka namiętność. Postanowiłem ich śledzić, jechać za nimi. Najpierw trzeba było zbadać charakter ich do siebie stosunku. Patrzyłem na nich pilnie, chciałem uchwycić jakiś giest, ruch, któryby mi określił bliżej ich uczucia. Ona widocznie była obrażoną za moje uporczywe wpatrywanie się i z lekko zamarkowaną indygnacyą wsunęła się w kąt wagonu. Cielę w cylindrze zaś zwróciło na mnie wyłupiaste bez wyrazu oczy i śledziło mię, uważałem to dobrze, z niekłamaną niechęcią. Wyraz jego twarzy, jeżeli wogóle mówić można o wyrazie twarzy u niego, był taki, iż wywoływał we mnie złudzenie, że lada chwila otworzy buzię i zacznie beczeć ze złości.

nowi chwiejność i niebranie do serca polskiej sprawy. W wagonie spotkał się p. Koźmian z Rochebrunem, który bardzo czarno zapatrywał się na powstanie. Wywody jego przeraziły p. Koźmiana, bo obawiał się, iż Rochebrun odsłaniając we Francyi smutny stan rzeczy, podkopie powstanie w opinji. Więc go łagodził obietnicą, iż otrzyma fundusze na tworzenie legji zagranicznej, co było jego marzeniem.

Pierwsza rozmowa p. Koźmiana z jego ojcem była też i pierwszem rozczarowaniem. Przekonał się, iż nic stanowczego postanowionem nie zostało.

Idąc z Klaczką bulwarami spotkał p. K. pana Texier. redaktora dziennika „*Siècle*“. Wyrażał się on z lekceważeniem o cesarzu, uważał sprawę za przegraną. „Radziłem cesarzowi — mówił — aby popchnął natychmiast na pomoc powstania 40 tysięcy Szwedów. Nic nie zrobił, — teraz zapóźno“. Ta fanfaronada była drugiem z rzędu rozczarowaniem p. Koźmiana.

Hotel Lambert miał jeszcze nadzieję, ale małą wiarę w powodzenie. Rząd austryacki radził przez Metternicha wyczekiwać i przystąpić naprzód do akcyi dyplomatycznej, zanim będzie mowa o przymierzu dla wypowiedzenia wojny. Układy jednak jeszcze trwały, a więc *Hotel Lambert* łudził się.

W rozmowie z ks. Czartoryskim cesarz szkicował różne plany rozwiązania sprawy polskiej. Kiedy Czartoryski rzucił myśl wyprawy morzem wojsk francuskich na Litwę, Napoleon odparł: „Nie, trzebaby wołu wziąść za rogi“, co miało oznaczać uderzenie na Kronstadt i Petersburg. W końcu rozmowy Napoleon upoważnił Czartoryskiego do powiedzenia, że trwanie powstania uważa za potrzebne. Walewski mówił Czartoryskiemu, że powstanie „niczego nie naraża“, a minister spraw wewnętrznych, że „umożebnia przybycie z pomocą“.

Książe Napoleon 17go marca przemawiał w senacie za Polską. Nazajutrz minister Billant wyjaśniał politykę cesarza. Były to jednak słowa dowodzące sympatyi dla Polski i żądające bezwzględnej ufności w zamiary cesarza.

Cesarzowa w pierwszych chwilach zapalała się: najpiękniejszego swego konia nazwała Langiewiczem, ale niepowodzenie misyi ks. Metternicha i troska o Meksyk źle na nią oddziałały. Morny i Fould dla obrony pokoju decydowali się poświęcić sprawą polską. Tak więc w rządzie cesarskim były różne zapatrywania — wszystko zależało od woli przyszłego jeńca Sedanu.

Do ministra Walewskiego poszedł p. Koźmian ze swoim ojcem. Doradzał on przedłużanie powstania, bo z wiosną może ono korzystniej walczyć „mogąc wysunąć armaty“. Oczywista, że Walewski miał błędne o powstaniu wyobrażenie. Zresztą nic pewnego powiedzieć nie mógł. Akcya dyplomatyczna jest omawiana — co się urodzi nie wiadomo. Na stereotypowe zapytanie: czy do szczęśliwego porodu powstanie dopomódz może? — Walewski zerwał się nanowo z kanapy i zawołał: „To tylko, to dopomódz może“. W tem miejscu nadmienia p. Koźmian, iż ojciec jego przeczył jakoby Walewski miał wyrazić się, że „krew powstania zakreśli granice przyszłej Polski“, a ks. Władysław Czartoryski jak najdokładniej słowa te sobie przypominał. Żegnając się z p. Koźmianem Walewski powiedział mu, że gdyby miał jeszcze cośkolwiek do zakomunikowania, to uskuteczni to przez swoją żonę, lub przez jego ojca.

Od Walewskiego udał się pan Koźmian do pani Walewskiej. Był u niej właśnie Nigra, ambasador włoski. Wspomniał, że widocznie dobrze idzie powstańcom, bo będą mieli pono niezadługo swą flotę. Była to aluzya do zamierzonej wyprawy przez Łapińskiego z Anglii, na Żmudź, na dwóch parostatkach. Autor nie wie czy słowa dyplomaty były lekkomyślnością w guście „Szwedów“ i „armat“, czy też szyderstwem.

O spotkanie się p. Koźmiana z cesarzem czyniła starania pani Cornu, siostra mleczna Napoleona, posiadająca też jego zaufanie, a przyjaciółka ojca autora. Cesarz nie zgodził się na propozycyą, wymawiając się, że mu „boleśnie teraz widzieć się z Polakami, a zresztą nie miałby nic do powiedzenia“. Jawnem było współczucie, a zarazem jawna niemoc, przynajmniej chwilowa. Z rozmowy z p. Cornu i z zebranych w Paryżu wskazówek przyszedł autor do przekonania, że cesarz dla samej postawionej przez niego zasady narodowości miał współczucie dla Polski, że chciał jej sprawę podnieść przy pomocy przymierza Francyi z Rosyą, że powstanie na razie popsuło jego plany, ale zachęcające go głosy z Anglii i Austryi, obudziły w nim nadzieję. Nieudana misya Metternicha nadzieję tę rozwiała ale choć zmartwiony, zniechęcony, dalej prowadzi układy i czeka na sposobność praktycznego działania.

Ministra spraw zagranicznych Drouyn de Lhuys'a nie odwiedził p. Koźmian, gdyż wiedział od ojca, że słowo w słowo mówi toż samo co Walewski.

A więc postanowił p. Koźmian powrócić. Przed wyjazdem jednak znalazł się na obiedzie u Duranda, na który zgromadzili się Polacy wszystkich zaborów i prowincyi, oraz ci, co się skupiali około *Hotelu Lambert*. Przed zebranymi złożył autor sprawę z tego, czego się dowiedział, i z odniesionych wrażeń. Dając wyraz swojemu rozczarowaniu przedstawił „wątłe widoki“, „nie określone plany“, które zmuszają przedłużać zabójczy dla kraju stan rzeczy. „Trzeba — mówił — powrócić do pierwotnego stanowiska zajętego przez zachowawcze żywioły i postawić sobie pytanie: czy należy powstanie popierać, czy też odsunąć się od niego?“

Po słowach p. Koźmiana zapanowała ogólna cisza. Tłomaczy on ją sobie właściwością charakteru polskiego, który nie jest zdolny nigdy(!) działać z rozmysłem. Nam się zdaje, że właśnie rozmysł wymagał głęboko się zastanowić, a nie doryweczo przy obiedzie powziąć uchwałę mającą obowiązywać jeśli nie ogół to znaczną część społeczeństwa. P. Koźmian tego nie zrozumiał i ciągnął dalej: najlepiej zająć stanowisko wyczekujące — nie jest w niczyjej mocy wstrzymać powstania (to prawda, a co najmniej nie było to w mocy p. Koźmiana) — potępić i wyprzeć się *lepszej* części społeczeństwa niepodobna*) wobec działania dyplomatycznego, — ale na razie nie rozszerzać go — nie narażać wysileniami Litwy, a zwłaszcza *Prowincyi Zabranych*. — Obeni obywatele z Litwy mieli w smutnych barwach przedstawić jej położenie.

Panu Koźmianowi odpowiedział Aleksander Rembieliński w te słowa: „Z tego co powiedział p. Koźmian, wnoszę tylko, iż cieszyć się nam należy, że ruch narodowy nie jest w rękach konserwatystów i reakcyonaryuszów.“ Czy ta odpowiedź była słuszna, czy niesłuszna, oto nam nie idzie, ale, że była dobitna, chyba p. Koźmian nie zaprzeczy.

W ogóle tak w tem miejscu, jak i w wielu innych trudno dojść, jakiego właściwie zdania był p. Koźmian.

Nie był przekonany, „aby zaniechanie powstania lub odsunięcie się od niego było już wtedy korzystnem“ — a jednak stawiał zapytania u Duranda, czyby się nie odsunąć? Nie wiadomo też właściwie, po co sobie zaprzątał głowę tem, czyby dobrze było powstrzymać powstanie, kiedy oświadczał, że nie leży to w niczyjej mocy“.

Nie ufał w skuteczność działań dyplomatycznych, a przecież dla tych działań obawiał się upadku powstania. Dziś dopiero wie, że mu brakowało stanowczości i siły, aby pójść „za głosem rozumu“. Gdyby nie to, „byłby“ uratował osobiste stanowisko i osobistą odpowiedzialność, w najlepszym razie także ściślejszego grona przyjaciół“ — ale sam to czuje, że mała z tego byłaby dla świata pociecha. Pan Koźmian tak dalece się wikła, że przyznaje, iż są-

*) Zwracamy uwagę na to klasyczne wyrażenie: l e p s z a część społeczeństwa, którem p. K. obejmuje grono swych przyjaciół. Ci, co się bili i szli na szubienice, byli g o r s i.

Jedno wyniosłem z mych obserwacyi wrażenie, iż im przeszkadzam, a obserwując ich jawnie nie dojdę do celu. Innej zatem chwyciłem się taktyki — ułożyłem me członki jak najdogodniej w kącie wagonu, zmrużyłem oczy do snu, obserwując pod zasłoną powiek mych towarzyszy. Manewr nie omylił mię. Piękna nieznajoma, która dotąd stale unikała spojrzeć na mnie, zaczęła się wpatrywać we mnie z uwagą, jakby się chciała przekonać, czy śpię rzeczywiście. Cielę w cylindrze nabrało o mnie przekonania, iż istotnie sen mię zmorzył. Zwrócił bowiem ku niej wyłupiaste oczy, w których jakiś odbłysk fauna się ukazał, i posuwał się powoli ku niej. Ona przestrzegała go lekkiem zmarszczeniem czoła, on uśmiechem pożądliwym na to odpowiedział i już był przy niej. Panna zachowywała się trochę sztywno wobec niego, lecz nie broniła mu pieścić swej ręki. Wreszcie dostrzegłem jak poufale oparł głowę na jej ramieniu — ciarki mnie brały — i zabierał się do snu. Wiedziałem dosyć. Tak pojadę za nimi, gdzie oni wysiądą tam i ja wysiędę. Potem zaczęły się tworzyć w mej fantazyi jakieś mgliste obrazy, były tam wzruszające sceny, gwałtowne raz czy dwa uczułem wstrząśnienia, raz nawet zdawało mi się, że owa piękna wpada w me ramiona, było to wszystko tak niepochwytne, powikłane, że trudno rozmotać mi było kłębki myśli. Wszystko się kończy i fantazye także — z fantazyi mych obudził mię głos szafnera: „S. alles aussteigen“. Obudził mię nietylko głos ten z fantazyi, lecz po prostu ze snu, bo na mem stanowisku obserwatora usnąłem jak najhaniebniej — a moja interesująca para Bóg wie na jakiej stacyi wysiadła. Literatura tem samem jest uboższą o jeden realistycznie zabarwiony utwór z życia czerpany, a ja nadal pozostaję w kłopocie o temat do mej noweli. W uszach dzwonią słowa naczelnego, utwór musi tchnąć „świeżością morza, jego potęgą“. Ileż to razy stałem nad morzem wdychając jego świeżość, ileż to razy patrzyłem w nieskończoność jego mglistych krańców, chciałem się przejąć jego potęgą. Wynikiem tych cielesnych inhalacyi i wrażeń morskich, obliczonych na podniesienie ducha, było, że nabazgrałem opis morza, jaki mógłby wyjść z pod pióra przeciętnego gimnazyasty, a ile razy pisałem o potędze morza, przytaczałem dosłownie który z prześlicznych ustępów z romansów morskich Piotra Lotiego — zresztą rzeczywistej potęgi morskiej odnaleźć nie mogłem, bo fale tu, jak na złość łagodnie usposobione. Gdy zaś zacząłem pisać o tęsknocie, którą się czuje patrząc na nie, z pewnością zakończyłem na tęsknocie, którą uczuwam z powodu nieobecności panny Klary. Jednakże właśnie nad morzem szczęśliwą powziąłem myśl, która mię doprowadzi do celu. Morze było spokojne, a równe jak szklana tafla, — lekki wietrzyk podniósł się i musnął po niem. Równa fala morska zmarszczyła się w lekkie zagięcia, wietrzyk wzmagał się, zagięcia się pogłębiają, zamieniają się w bruzdy, z zagięć powstają wcale imponujące bałwany, cała powierzchnia była wzburzoną. W kilka godzin po tem ten sam martwy zapanował spokój. Wtenczas mi się udało trafnie porównać morze do oblicza człowieka, gdy wewnętrzne w nim panuje wzruszenie. Twarz marszczy się, wrażenia ryją na niej bruzdy, bruzdy pogłębiają się, cała spokojna powierzchnia jest wzburzona. Ta tylko jest różnica, iż morze po burzy wygładzi się, śladu nie pozostawia wzburzenia, na twarzy zaś ludzkiej im częstsze burze, tem głębsze bruzdy, tem więcej śladów pozostawiają wichry zgryzot, żalów, trosk i namiętności. Postanowiłem studyować fizyognomie, czytać z tej księgi otwartej, na której życie pozostawiło swe ślady wyraźne. Hieroglify bruzd na twarzy czasami są niezrozumiałe, lecz gdy znajdziesz klucz do nich, odgadniesz z nich łatwo przeszłość.

Z zapałem szukam przedmiotu. Ślepy byłem. Od dni kilkunastu siadywał nie daleko odemnie naprzeciw altanki, w której zazwyczaj piłem po obiedzie kawę, starzec, na którego twarzy nie sama tylko starość wyżłobiła znaki swoje. Żałuję, że nie jestem malarzem, że nie umiem rysów jego przenieść na papier. Wątpię jednakże, czy którykolwiek z malarzy uchwyciłby charakterystyczne tego oblicza znamiona,

dził, że choćby powstania kraj zaniechał, nicby to nie pomogło Królestwu, — Więc czemuż, powtarzamy, wciąż o tem zaniechaniu i myślał i mówił.

Przed samym wyjazdem udał się p. Koźmian do pani Walewskiej. Kiedy go pytała czy odjeżdża, zadowolony odpowiedział, że nie całkiem, „naprzód dlatego, że się nigdy Paryża chętnie nie opuszcza, a zwłaszcza gdy się nie wie, kiedy się do niego powróci". Odpowiedź wysoce oryginalna, jak na człowieka, który jedynie dla pewnej misyi przyjechał do Paryża.

Gdy się p. Koźmian skarżył przed Walewską, iż nic nie wiezie do kraju, pocieszała go i napisała kartkę do męża z zapytaniem, czy chce się widzieć z p. Koźmianem. Mąż ją wezwał do siebie, ale będąc zajęty naradą z ministrem Magne, którego ustąpienie rozgrywało się w tej chwili „pod wpływem niesprzyjającego sprawie polskiej Foulda", kazał p. Koźmiana pożegnać i pokazać mu zakreślony ustęp dziennika „*La Patrie*". Ustęp ten stwierdzał, iż negocyacye postępują, ale „niestosownem jeszcze byłoby określić ich przedmiot i naturę".

Powrócił więc pan Koźmian do Krakowa z tem, z czem wyjechał. Z Napoleonem się nie widział, Walewski raz mu powiedział to, o czem p. Koźmian wiedział, drugi raz nie mógł się z nim widzieć, wykład wreszcie p. Koźmiana w gronie Polaków o sytuacyi nie odniósł wrażenia. Całą „świetną zdobyczą" był ów numer dziennika „*La Patrie*", który prawdopodobnie mógł sobie sam p. Koźmian nabyć za jakie dziesięć centimów.

Powróćmy do Krakowa udał się naprzód p. Koźmian do Adama Potockiego. Ten po wysłuchaniu relacyi i przeczytaniu „*La Patrie*" uśmiechnął się z ironią i smutkiem i wskazywał jak błędne są nadzieje oparte na Napoleonie III. Zgodzili się obaj, że na razie, choćby wystąpiło kilku ludzi odważnych przeciw powstaniu, byłoby to bezcelowe. Zdawszy sprawę ze swej podróży kilku innym jeszcze osobom, „a przedewszystkiem L. Wodzickiemu i St. Tarnowskiemu", zarządził pan Koźmian jak się ma „*Czas*" zachowywać i pojechał do Lwowa, gdzie się właśnie przygotowywała zbrojna wyprawa na Wołyń.

U ks. Adama Sapiehy w obecności Smolki i Ziemiałkowskiego oświadczył p. Koźmian, że „osobiście" jest przeciwny wysłaniu oddziału na Wołyń. Poparł go Smolka i wpoił w nim przekonanie „o niepospolitych swych zdolnościach politycznych". Sapieha ostro starł się ze Smolką, a Ziemiałkowski milczał. Wyprawa na Wołyń nie została zaniechaną, Smolka wystąpił z Komitetu Narodowego dla wschodniej Galicyi. Komitet wierzył, że *Złota Hramota* cudów dokaże.

Tymczasem ks. Władysław Czartoryski został mianowany ajentem Rządu Narodowego, który był już uznany przez wszystkich, a nawet przez *grono krakowskie*.*) Członek *Dyrekcyi* rodowego.

Tyle się dowiadujemy z rozdziału V, VI i VII *Rzeczy* p. Koźmiana.

Pozwolimy sobie zakończyć ten nasz III-ci rozdział przytoczeniem słów memorjału ks. Władysława Czartoryskiego, które krótko, a dobitnie przedstawiają działalność konserwatystów w czasie przez p. Koźmiana do tej chwili opisanym. Oto są te słowa:

....„Tymczasem przez trzy miesiące (luty, marzec, kwiecień,) znaczna część narodu, ludzie dojrzali i oględni, zachowywali postawę bolesnej bierności wobec tego powstania rozpaczy".

*) P. Koźmian wymienia 19 marca jako datę tego uznania, a więc dopiero po uznaniu zrobił wycieczkę do Paryża, aby się nie widzieć z Napoleonem. *Białych* Karol Ruprecht wstąpił do Rządu Na-

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nie była to twarz pociągająca — lecz mimowoli zapytywałeś się, patrząc na nią, jakie przejścia wyryły na niej ten rys urągliwej rozpaczy, która wie o swojej bezsilności, a jednak się szamota, aby się nie poddać, mimo świadomości, iż to walka bezużyteczna, wysiłki bez nadziei. Jakież on przechodził życia koleje? Może w jego życiu rozegrał się jaki dramat potęgi szekspirowskiej, pełen walk duchowych, pełen zawodów, które zniszczyły w nim wiarę w cnotę ludzką.

Obserwowałem go pilnie; siadał przy kawie i wpatrywał się w wierzchołki drzew. Z ciekawości przeszedłem na jego stronę, aby przekonać się, w co on właściwie się wpatruje. Widziałem bowiem wyraźnie, iż wzrok jego nie był bezmyślnym, iż obserwował z zajęciem coś dla mnie jeszcze niepochwytnego. U. wód o znajomość nie trudno, nie czekałem romantycznej przygody, w której bym się mógł przysłużyć starcowi.

Doszedłem do znajomości z nim w najprozaiczniejszy w świecie sposób, przedstawiłem się i zapytałem, czy mi nie wolno przy nim zająć miejsca.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Smierć w hypnozie.

Podczas świeżo ubiegłych tygodni, gdy jako gość w stolicach obu austro-węgierskich państw poświęcałem się obowiązkowo, ale z siłą zwolna obumierającą, targającym nerwy i żołądek studyom nad porównawczą kongresologją — chodziło bowiem o międzynarodowy kongres hygieniczny w Peszcie, oraz zjazd niemieckich przyrodników i lekarzy w Wiedniu — opinja publiczna obu stolic wraz ze swojem echem dziennikarskiem żywo zainteresowały się tragicznie zakończonem wydarzeniem o sensacyjnem zabarwieniu, które w tymże czasie rozegrało się na zamku węgierskiego magnata Salomona w Tuszerze. — Nie będąc pewnym, czy fala opinji publicznej przepłynęła także po za czarno żółte słupy graniczne, może niepotrzebnie rekapituluję i komentuję towarzyszące wzmiankowanemu wypadkowi okoliczności; zaznaczyć jednak muszę, że przynajmniej w tych „inteligentnych" organach, które mi wpadły do ręki, znalazłem tyle bredni i trudnych do uwierzenia absurdów, a w ustnych rozmowach tyle zdań bezrozumnych w tym względzie, że dla właściwego poglądu zawsze jeszcze miejsce pozostaje.

Najpierw peszteńskie, a następnie wiedeńskie dzienniki doniosły szczegółowo o nagłej śmierci 22 letniej córki wyżej wzmiankowanego magnata panny Elly Salomon, która umarła nagle w trakcie doświadczeń hypnotycznych, jakie czynił na niej pewien awanturnik-hypnotyzer, znany poniekąd w charakterze „poszukiwacza źródeł" inżynier Franciszek Neukom. Pod różnymi tytułami jak n. p. „Śmierć Medyum" podali pomysłowi reporterzy straszną historyę. Na pierwszych stronnicach dzienników zamieszczono ją z różnemi mniej lub więcej pikantnemi dodatkami jako artykuł wstępny, zaś dalej pomiędzy wiadomościami bieżącemi następowały orzeczenia różnych powag lekarskich, które do interwiewu skłonić się udało. Największego bąka ustrzeliło mianowicie pewne pismo wiedeńskie („Neuigkeit-Weltblatt" zowie się ono skromnie, i słusznie); pismo to pomieściło prócz sporej wiązanki „fachowych berychtów" zarazem ilustrowaną demonstracyę tego okropnego wypadku. Widziałeś tam padającą w objęciach śmierci ofiarę (w powłóczystej szacie, krewnych rozpaczających, załamującego ręce i słaniającego się z przestrachu hypnotyzera w kratkowanym żakiecie, pasiatych pantalonach i takiejże kamizelce — wszystko zastosowane do wykwintnego gustu kucharek — u góry zaś, wyłaniającą się z rogu obrazu, kokieteryjnie uśmiechniętą twarzyczką nadobnej Elli w stanie niehypnotycznym i nie-mediumistycznym.

Pierwsza, powszechnie przyjęta wersya brzmiała jak niżej: Neukom, który młodą dziewczynę często hypnotyzował i różne eksperymenta na niej wykonywał (powodujący śmierć „seans" był siódmym z rzędu znakomitszych w swoim rodzaju, jakie na zamku Tuszer przedsięwzięto) tym razem wmówił w nią, iż jest dotknięta suchotami płucnemi, poczem medyum zaczęło rzeczywiście zdradzać wszelkie typowe symptomy cierpienia płucnego w wiernem i naturalnem oddaniu.

Wreszcie zapytał hypnotyzer uśpionej, czy nie odczuwa czego w głowie? Na te słowa medyum wstrząsnęło się, wydało przeraźliwy okrzyk i padło bez życia. Wersyi tej zaprzeczył oczywiście sam nieszczęsny hypnotyzer, który w liście do brata twierdzi, że śmierć dziewczyny d. 14go Września o godz. 7 i 50 minut wieczorem) nastąpiła nie podczas samej hypnozy, lecz przed jej początkiem, uśpienie zaś zamierzał wywołać w celu poinformowania się o stanie choroby brata swego Karola.

„Radosne uniesienie z powodu okazyi ujawnienia wróżbiarskich zdolności swoich zadało śmierć dziewczynie, która była wtedy rekonwalescentką". Oto dosłowne i zarazem charakterystyczne zdanie pana Neukoma. Czy ta ostatnia bądź co bądź obciążająca go wersya, czy też pierwsza jest prawdziwą — roztrzygać tu nie mogę.

Sądowe śledztwo, które obecnie jak głoszą, jest w biegu, może wykryje prawdę, ale być też może, a nawet jest prawdopodobieństwem, że nie nastąpi to nigdy, bo umarli po za obrębem seansów spirytystycznych ust nie otwierają, a żyjący mają w tym wypadku wszelkie powody iść za przykładem umarłych.

Wszyscy bowiem uczestnicy wypadku grają w tej smutnej historyi dość dwuznaczną rolę, o ile sądzić można z zebranego dotychczas materyału, dotyczącego tej sprawy, jako to: opublikowanych w dziennikach zeznań ojca ofiary, listów Neukoma, orzeczeń lekarzy i t. d. i w bardzo podejrzanym przedstawiają się świetle. Dotyczy to nietylko głównych aktorów, jak hypnotyzera i jego medyum, lecz i wszystkich figur pobocznych: rodziców dziewczyny, krewnych i przyjaciół zaproszonych na „eksperymenty", oraz powołanych wcześniej i później lekarzy. Cóż bowiem sądzić można o lekarzu (a nadto fizyku powiatowym), który w swem sprawozdaniu wystosowanem do ministra spraw wewnętrznych, zaznacza, że sam, jako „lekarz konsultujący" zmuszony był jeszcze przed rokiem udzielić rodzinie smutnej wiadomości, iż wskutek wzrastającej innerwacyi systemu naczyń krwionośnych może nastąpić śmierć natychmiastowa, nawet bez wszelkiej zewnętrznej przyczyny, — a który mimo to faworyzuje i bezwzględnie uniewinnia doświadczenia hypnotyczne (w danym wypadku podwójnie potępienia godne) i nawet uważa takowe za środek życie ratujący; który dalej uznaje za zbyteczne przeprowadzenie sekcyi policyjnej, lubo, że śmierć nastąpiła w tak podejrzanych okolicznościach, i ogranicza się tylko na badaniu mózgu, a tu nawet poprzestaje na tak pobieżnym i banalnym protokóle, że współdziałający prosektor zaprzecza następnie, aby rezultat badań swoich spisał w formie użytej przez fizyka w urzędowym protokóle.

Zdaje się, że wywołany tem oświadczeniem skandal zniewolił władze do ekshumacyi trupa, przyczem wykryto między innemi znaczne zmiany mózgowe (mówią o tuberkulozie mózgowej; nowy wynik wszakże, o ile mi wiadomo nie został dotąd publikowany).

„Inżyniera studzień" i „pszukiwacza źródeł" Franciszka Neukom możemy dostatecznie scharakteryzować na zasadzie listów jego, ogłoszonych w węgierskich dziennikach. Zdaje on się być działającym w dobrej wierze fanatykiem owego kierunku, który zwykły hypnotyzm uważa jedynie jako środek i wstęp do osiągnięcia stanu

jasnowidzenia i wnikania we wszystkie możliwe dziedziny tajemnic transcendentalnych. Wystarczy tylko zacytować następujące wyjątki z listu jego brata Juliusza: (z dnia 8go Września 94 roku) „Ella badała się sama podczas snu hypnotycznego, szczegółowo jak lekarz; postawiła dyagnozę swego cierpienia i sama zaordynowała lekarstwa, a wszystko to w terminach fachowych — łacińskich, lubo w stanie normalnym nie zdradza najmniejszej znajomości łaciny. Jej duch mówił o niej niby o obcej, trzeciej osobie. Z tego wypływa zdaniem mojem, że w głębokim śnie hypnotycznym dusza może się zupełnie wyzwolić z więzów ciała. Aczkolwiek my ludzie, pojąć tego nie możemy, fakt ten nie ulega wątpliwości!“ — Skoro podobne rzeczy przyjmuje się z góry, jako fakt oczywisty — nauka, naturalnie, nie ma już nic do powiedzenia, będzie ona jednak mogła przyjąć za „pewnik“, że Neukom przez swoje „hypnotyczne eksperymenty“, co najmniej przyczynił się znacznie do przyspieszenia zgonu swej nieszczęśliwej ofiary, choćby mu nawet przyznała „okoliczności łagodzące“ z powodu uczciwego przekonania o pożyteczności lub nieszkodliwości jego działania. Oczywiście i to tylko cum grano salis, ponieważ dziwić się musimy, słysząc (list z 10 września 1894, a zatem kilka dni przed śmiercią) — że kobieta, złożona ciężką chorobą poddać się ma zamierzonym eksperymentom, — Neukom pragnie za pomocą ducha Elly odszukać brata swego Karola, — „dla pokazania w tej dziedzinie gościom czegoś nowego“. Ella przyrzekła nadto w rzeczy samej, że „skoro będzie w dobrym humorze“, zgodzi się na odszukanie kasetki, skradzionej hr. Forgachowi, a Neukom dodaje: „Jestem przekonany, że p. Ella napewno ją odszuka.“

Eksperymenty będą niezawodnie nadzwyczaj „interesujące“. Nie sprawdziły się przewidywania, lecz wynik eksperymentów stał się niestety daleko więcej „interesującym“, niż go się autor listów spodziewał. Być może, że gdyby nie zakończyło się wszystko katastrofą, p. Ella odnalazłaby była skradzioną kasetkę, jak to niegdyś już uczyniła — według opowiadań jej ojca, człowieka dla hypnozy wielce rozentuzyazmowanego — odnajdując w stanie sennym różne skradzione rzeczy — jak n. p. złoty zegarek z łańcuszkiem i kluczykiem, agrafę, kulę ruletową i swój własny zegarek z łańcuszkiem, — wreszcie odsłaniając z najdrobniejszemi szczegółami kradzież z włamaniem, dokonaną w miejscu dość oddalonym od Tuszeru, gdzie wówczas bawiła.

Opowiadanie to jest tak charakterystycznem, że uważam za stósowne, całkowicie je na tem miejscu powtórzyć; zaoszczędzę sobie przez to dłuższej charakterystyki ojca i córki, oraz oceny ze stanowiska lekarskiego tej całej tragi-komedyi.

„Najwięcej wstrząsającą chwilą była ta, w której córka moja, pogrążona w śnie hypnotycznym, wydała nagle okrzyk i zaczęła mówić: „obecnie jest godzina kwadrans na 8mą wieczorem . . . . jakiś złodziej zakradł się do jadalni . . . . staje przed szafą ze srebrami, tak że go nie można widzieć przez okno . . . wystraszył się . . . , szybko chowa różne przedmioty do kieszeni . . . owalną cukierniczkę z kwiatem na pokrywce . . . solniczkę . . . imbryk do kawy . . . teraz udaje się do salonu . . . teraz do mojego pokoju . . . słyszy hałas . . . chowa się pod stół . . . później pod kanapę . . . zostaje tam“ . . . Następnie opisywała także ucieczkę złodzieja, jak stanąwszy oglądał skradzione przedmioty, jak się schował w ogrodzie, jak znowu później powrócił i zakopał srebro w ogrodzie. Całe towarzystwo podczas tego opowiadania zdradzało silne wzruszenie. Miało to miejsce nie na naszym zamku, lecz w Mandok, zkąd oczywiście pojechaliśmy natychmiast razem z Neukomem do Tuszeru.

Któż wyobrazi sobie nasze zdumienie?? Konstatujemy brak tych wszystkich przedmiotów o których mówiła moja córka i znajdujemy je we wskazanem przez nią miejscu. Później przy innej sposobności zapragnęliśmy poznać nazwisko owego złodzieja, lecz córka moja odrzekła, że nie należy unieszczęśliwiać człowieka. Obiecaliśmy jej, że nie zaskarżymy złodzieja, na co odpowiedziała: „Dusza nie dowierza ludzkim zapewnieniom, lecz czyni to, co za dobre uważa“.

Dusza to tylko czyni, co za dobre uważa! Ha! — dusza p. Elly uważała za dobre w tym i innych wypadkach zakpić sobie z całego towarzystwa, nie wyłączając papy. Sama ukradła i przechowała przedmioty. Krótko i węzłowato: Jeżeli ktoś w obec takich faktów może jeszcze lub chce wierzyć w jakieś „jasnowidzenie“, w hocus — pocus świętej pamięci „clairvoyance“, w jakieś wyższe nadprzyrodzone czynności w czasie hypnozy — z tym wszelka naukowa dyskusya ustaje. Z naukowego stanowiska jest p. Ella Salomon (o zaślepionym, a tak ciężko ukaranym ojcu mówić nie mamy potrzeby) zwykłą histereczką, jak tysiące innych — z ową chorobliwą wszystkim historyczkom mniej lub więcej właściwą, a u niej szczególnie rozwiniętą pasyą zwracania na siebie nwagi — używającą wszelkich sposobów, aby zmusić rodziców, krewnych, przyjaciół, lekarzy, wszystkich do podziwiania tak zadziwiająco niezwykłej osóbki. To jej się też udało w zupełności! — opłaciła niestety tryumfy te bardzo drogo, bo własnem życiem, — stała się wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności ofiarą własnej głupoty i pogoni za sensacyą. Może przyczyniło się do jej śmierci oprócz niewątpliwej histeryi, jakie ciężkie cierpienie organiczne, które we wnętrzu swojem nosiła, a które przez silne emocyonalne wstrząśnienia natychmiastową śmierć sprowadzić musiało. (Bądź to na mocy psychicznego „choc“, bądz „paraliżu serca“, lub może nagłego pęknięcia jakiego naczynia krwionośnego w mózgu — tego bez dokładnej sekcyi rozstrzygać nie można). Jakiż teraz sens moralny wypływa z całego zdarzenia?!

Czy hypnotyzm jest „osądzony“, czy też „ocalony“? Czy ma być potępionym jako niebezpieczny, a nawet śmierć sprowadzający obłęd?! Czy też zdobyliśmy tylko nowy, świetny dowód jego zdumiewającej, głęboko sięgającej, w pewnych warunkach oczywiście niebezpiecznej działalności i skuteczności?

Mniemam, że ani jedno, ani drugie? Hypnoza terapeutyczna i suggestya hypnotyczna, używane w celach leczniczych, jako ważna, czasem niezbędna forma duchowej terapii nie mają z całym tym smutnym wypadkiem nic wspólnego. Nauka, jaka z tego zdarzenia wynika, a którą nietylko lekarz, lecz i wykształcony łajek zrozumieć powinien — leży w zupełnie innych dziedzinach i kierunkach. Znajdujemy ją przedewszystkiem w zakresie hypnotycznych posiedzień i doświadczeń, które od czasu pierwszych tryumfów Hansena w roku 1880 weszły w modę i dziś jeszcze nastręczają sposobność do najgorszych nadużyć. Spotykamy przecież w „oświeconym“ Berlinie, roszczącym sobie pretensye do krytycyzmu, prawie codziennie plakaty, zapraszające na posiedzenia, gdzie różnego kalibru cyrulicy, magnetyzerzy i inni pseudo-dobrodzieje ludzkości produkują swe hypnotyczne sztuczki na zdrowych i chorych. W obec tego zuchwałego, a dla niebezpieczeństwa, jakie sprowadza, wprost niegodziwego postępowania, zachowuje się prasa biernie, opinja publiczna obojętnie i uległe, policya zaś, uchodząca poniekąd za wszechwładną — na pozór bezsilnie. Jak dalece zakorzeniło się to złe w kołach prywatnych, a w szczególności wśród sfer „najwyższych“, wyróżniających się „fortuną i wykształceniem“, na to rzucają jaskrawe światło wypadki podobne temu, jaki wydarzył się na zamku węgierskiego magnata.

Pomiędzy świadectwami przedstawionemi przez „inżyniera studzien“ i „poszukiwacza źródeł“ Neukoma, znajdujemy tak świetne arystokratyczne nazwiska, jak Forgachów, Sonzayów i innych — a niechaj nikt nie sądzi, żeby w Niemczech było inaczej! Właśnie członkowie najarystokratyczniejszych rodzin niemieckich lubują się w niebezpieczniejszych jeszcze kuglarzach, grasujących w Berlinie, Dreznie, Monachium i prawie wszystkich wielkich miastach.

Niestety i lekarze nie są tu bez zarzutu, przynajmniej ci z nich, którzy z terapii hypnotycznej robią rzemiosło i specyalność, wyzyskując ją w eksperymentach niebezpiecznych po kupiecku — dla reklamy.

Pomijając inne następstwa grozi tu niebezpieczeństwo, że tacy „specyaliści od hypnotyzmu“ zapominają nader łatwo o zasadach dyagnozy, i zaniedbują na podstawach naukowych oparte badanie. Pocóż bowiem krępować się skrupułami dyagnostycznemi i ściśle naukowemi subtelnościami tam, gdzie natura terapii z góry jest ustaloną, gdzie *jedną* metodą leczy się wszystko, co w ogóle jest uleczalnem. — Czasem nawet taniej i wygodniej, a w pewnych warunkach zyskowniejszem bywa i więcej sławy przynosi, skoro się za pomocą sugestyi usunie pewne uderzające symptomy choroby i zbudzi tym sposobem w chorym przekonanie, że jest uleczonym! Ale jak dalece ignorujemy tem samem piękne słowa Pitres'a, jednego z wybitniejszych uczniów Charcot'a, któremi kończy swoje dwutomowe dzieło o histeryi, wykazawszy z gorącem uznaniem zdobycze w dziedzinie hypnotyzmu: „usez de la suggestion, n'en abusez pas; restez médecins, ne devenez pas hypnotiseurs“.

Oto mniej więcej praktyczne wskazówki, które wypływają z całej tej sprawy.

Ponieważ jednak nasza przezacna publiczność odwykła w wielu rzeczach od samodzielnego myślenia, przeto nie skorzysta zapewne z tych praktycznych wskazówek; a ponieważ nie jest zbyt podatną do przyjmowania nauczek, — zapomni też niebawem o krwawej przestrodze w Tuszerze. — Sąd nasz musi mimo to następujące mieć brzmienie: Ella Salomon jest ofiarą — a z pewnością ani pierwszą, ani ostatnią — nie samej hypnozy, lecz połączonej nierozdzielnie z wszystkiemi hypnotycznemi widowiskami i eksperymentami prawdziwie modnej mieszanki z złożonej z pogoni za reklamą, drażniącej nerwy rafineryi, z kłamstwa i mistyki, z oszustwa i widzimisię, z czelności i zaślepienia.

Prof. Dr. Albert Eulenburg. („*Zukunft.*“)

Szkice z amerykańskiego świata.*)

skreślił

Wojciech Szukiewicz.

I.

Trzeba mieć doprawdy wiele odwagi i silnej woli, aby siedząc w Hamburgu powiedzieć sobie: *jestem ostatni dzień w Europie.* Łatwiej bowiem taką rzecz, jak wyjazd do Ameryki, postanowić niż wykonać. Wyjeżdżając, wiem, co rzucam, ale nie wiem, co znajdę, zwłaszcza, iż u nas wiadomości o stosunkach amerykańskich są bardzo skąpe i niedokładne. Jeden z moich znajomych zakopańskich zapytał mnie, czy okręt płynie tylko w dzień czy też i w nocy, i jak często zatrzymuje się po drodze. Był to wprawdzie człowiek małego wykształcenia, ale też i pytanie odnosiło się do wiadomości mocno elementarnych. Różne więc myśli błąkają się po głowie wychodźcy z kraju rodzinnego, a nikczemna pogoda i mgła, zawisła nad Hamburgiem, nie przyczyniają się do rozerwania i rozweselenia.

Utarta i popularna sentencya powiada, że lepsza najgorsza pewność od niepewności. Twórcą tej zasady życiowej musiał być wielki filister, ciasnego mózgu i słabej woli. Do odważnych świat należy, więc choć nie wiem, co mnie za morzem czeka, nie cofam się i jadę.

Zresztą cofnięcie się kosztowałoby mnie wiele, bo musiałbym wprzód zdusić w sobie swoje instynkty, pragnienia, ideały. A tego uczynić nie mogę. Więc w górę czoło i naprzód!

Wszystkie formalności załatwione. W kieszeni bilet kolejowy z Hamburgu do Cuxhaven i okrętowy z Cuxhaven do New-Yorku. Kufer zmierzony i opisany, poświadczenie zabrane, więc tylko siadać i w drogę.

Zegnając się z Europą zebrałem tyle serdecznych uścisków dłoni, tyle szczerych, niekłamanych życzeń dobrego za morzem powodzenia,

---

*) Obrazki powyższe nadsyła nam znany literat p. Wojciech Szukiewicz, który przed 6 tygodniami udał się do Ameryki jako delegat Tow. handlowo-geograficznego i reprezentant Przegl. Emigracyjnego. Przyp. Red.

że dodawszy to do wiary w swoje młode siły z ufnością powierzam się falom Atlantyku wierząc, iż powiozą mnie do spełnienia moich gorących pragnień. A pragnienia moje, to zdobycie w możliwie najkrótszym czasie o tyle niezawisłego stanowiska materyalnego, aby zyskać możność częściowego przynajmniej doprowadzenia do skutku stałych i częstych stosunków między naszą europejską metropolją, a zamorskiemi koloniami. Idea łączności wyłoniła się tak po jednej jak po drugiej stronie Oceanu, potrzeba tylko ludzi, którzyby się jej zrealizowaniu poświęcili.

Nie wiem, dlaczego będąc dalekim od wszelkich dziecinnych przesądów z przyjemnością powtarzam sobie nazwę pospiesznego parowca, który ma mnie dowieść do New-Yorku. „Columbia", jeden z najlepszych parowców hambursko-amerykańskiego akcyjnego towarzystwa przewozowego, poprowadzi mnie może do odkrycia wielu nieznanych staremu krajowi, a ciekawych i ważnych faktów, których poznanie wpłynie na zmianę pojęć i zachęci do czynów korzystnych dla ogółu społeczeństwa polskiego,

Dnia 27go września rano pociąg specyalny zawiózł pasażerów „Columbia" z Hamburga do Cuxhaven, skąd mały parowiec przewiózł nas na okręt, którego przez ośm dni nie mieliśmy opuścić. Podróż zaczęła się od zjedzenia smacznego obfitego obiadu, poczem wszyscy wyszliśmy na pokład. Ponieważ morze niemieckie jak zwykle było niespokojne, przeto niebawem wystąpiły u wielu jadących objawy choroby morskiej, tej najnieprzyjemniejszej na okręcie zabawy towarzyskiej. Następny dzień w Kanale był spokojny i pogodny, to też znaleźliśmy się wszyscy w komplecie na pokładzie w dobrych, różowych humorach. Niedługo atoli cieszyliśmy się tem, gdyż od trzeciego dnia drogi rozpoczęła się haniebna pogoda, a „Columbia" odbyła jednę ze swych najmniej pomyślnych, choć tak częstych podróży. Zaledwie opuściliśmy kanał, gdy zerwał się silny wiatr południowo-wschodni, morze poczęło się burzyć, zwierciadło wody wzdymać. Była to sobota; noc nie przyniosła korzystnej zmiany, a następnego dnia w niedzielę zerwała się formalna burza, ciskająca okrętem na wszystkie możliwe strony. W południe doszły bałwany morskie do niebezpiecznej wysokości i wielkości; co chwila olbrzymi wał wodny uderzał w okręt z boku, lub spadał z góry ogromną kaskadą, zalewając cały pokład.

Okręt choć mocno zbudowany drżał i trzeszczał, aż niemile było słuchać. Kiedy burza do kulminacyjnego doszła punktu, kapitan kazał rozlać oliwę i zatrzymać czynność jednej z dwóch śrub okrętu tak, iż płynęliśmy jakiś czas tylko połową siły, tracąc dwieście mil morskich.

Przedsięwzięte środki ostrożności odniosły pożądany skutek, a mimo to nie obeszło się bez ofiary z życia ludzkiego. Jeden z marynarzy, czterdzieści pięć lat liczący Obsen, został przez falę spłukany z pokładu i znalazł śmierć w głębiach Atlantyku. Wdarcie się rozhukanej wody do środka okrętu sprawiło chwilowy popłoch, ale nie pociągnęło za sobą żadnych przykrych następstw. Pod wieczór uspokoiły się wzburzone fale, noc mieliśmy względnie spokojną; lecz koniec naszych bied nie nadszedł jeszcze, bo oto czekała nas przeklęta noc z poniedziałku na wtorek jeszcze gorsza od niedzieli. Rozszalałe fale miotały „Columbią" jak piłką, jeden szturm połamał grube żelazne pręty i belki drewniane okalającej okręt barjery, wyrządzając przez to znaczną szkodę i nabawiając podróżnych uzasadnionej obawy. Piekło takie nie miało się atoli więcej powtórzyć. Wprawdzie następne dni i nocy nie zupełnie były spokojne, ale byliśmy z nich już zadowoleni. Wkrótce miała nam pogoda wynagrodzić wszystkie wyrządzone przykrości, ostatni bowiem dzień pogodny był i słoneczny, pozwalając rozkoszować się wjazdem do portu nowojorskiego, jednego z najpiękniejszych na kuli ziemskiej. Przed wpłynięciem do portu zatrzymuje się okręt na krótki czas dla odbycia kwarantanny. Lekarz podpływa na małym parowcu i odbywa ścisłą rewizyą sanitarną, zwłaszcza wśród pasażerów trzeciej klasy. Zjawiają się też urzędnicy celni, dla zbadania ładunku, inny parowiec zabiera przygotowaną przez pasażerów pocztę. poczem wolno wjeżdżamy do pięknego, rozległego o malowniczych wybrzeżach portu, strzeżonego przez olbrzymi posąg wolności, który przybywających do Ameryki wita na samym wstępie i zapowiada istotnie to, co się na ziemi amerykańskiej znajduje. Okręty niemieckie lądują w Hobaken: tu wysiadują podróżni, tu wyrzucają się do olbrzymiej hali kufry i pakunki, które urzędnicy celni przeglądają i rewidują. Zwożenie kufrów, krzątanie się przyjezdnych nawoływanie ofiarujących swe usługi ekspresów, wszystko to wytwarza gwar, hałas, szum i tartak, mogący ogłuszyć i oszołomić. Nareszcie celnicy spełnili z wielką dla pasażerów względnością swój obowiązek, ekspres już ugodzony, więc nic nie przeszkadza siąść na prom i kazać się przewieść do New-Yorku, będącego właściwym celem mojej podróży. Ponieważ wieczór dawno już zapadł, więc miasto całe tonie w morzu świateł gazowych i elektrycznych jakby podczas jakiejś uroczystej iluminacyi. Z parowca przewozowego siadam na tramwaj, a z tramwaju na kolej miejską, która zawozi mnie na piećdziesiątą ulicę pod numer sto trzydziesty siódmy, gdzie czeka na mnie przygotowane przez bawiącego w New-Yorku ojca mieszkanie. Niepomyślną podróżą morską i chorobą zbity, miejskim ruchem i gwarem oszołomiony, zaspokoiwszy nienasyconą hydrę głodu, ciskam się na łoże dla spędzenia pierwszej w Nowym Świecie nocy. Pełnych ośm dni uciążliwej drogi morskiej dzieli mnie od staruszki Europy, którą na dłuższy czas opuściłem. Pierwszy krok najtrudniejszy ale i najłatwiejszy zarazem uczyniony: pierwsze chociaż najmniejsze niebezpieczeństwo, grożące ze strony wzburzonego morza, przebyte: *alea jacta* gra rozpoczęta, zaczyna się nowe, inne niż w Europie życie, czy lepsze? — przyszłość pokaże. Tymczasem chciwy wrażeń umysł czeka prawdziwie Lukullusowa, przeobfita uczta, do której niebawem zasiądę z mocnem postanowieniem wchłonięcia wszystkiego, co się da, przetrawienia, przyswojenia sobie i podzielenia się nabytemi wiadomościami z czytającą polską publicznością, która się światem amerykańskim coraz bardziej interesować zaczyna. Przyszły szkic da już czytelnikowi kawałek New-Jorku, który ze wszech miar bliżej i dokładniej poznać warto.

KRONIKA KRAKOWSKA

23 października.

(Szkoła Sztuk Pięknych. — Wybór dr. Milewskiego. — Muzeum hr. Czapskiego. — S. p. ks. Adam Słotwiński. — Z teatru.

Dzienniki nasze przyniosły w ostatnich czasach wiadomość o przypuszczalnem obsadzeniu stanowiska dyrektora krakowskiej szkoły Sztuk pięknych. Naprzód doniosły, iż dyrektorem zostanie Henryk Rodakowski, później same zaprzeczyły tej pogłosce i jako przyszłego dyrektora wymieniły Kazimierza Pochwalskiego. Gdybym wiedział, co o tem myśli p. minister Madejski, mógłbym donieść w tej mierze coś pewnego, ale myśli dr. Madejskiego są zazwyczaj trudne do zbadania. Zresztą przypuszczenia, jakie dziś podnoszą miejscowe dzienniki, są znacznie spóźnioną ,odbitką tych horoskopów, jakie przed niemi bardzo już dawno stawiano. Jeszcze przed ukazaniem się „Przeglądu" pisałem gdzieindziej, iż Rodakowski byłby najodpowiedniejszy na dyrektora, gdyby nie to, iż wiek podeszły stoi mu na przeszkodzie — te same uwagi wypowiadają dopiero obecnie pisma galicyjskie. Później pisałem w „Przeglądzie" i to dość szeroko, że o ile mnie dochodzą wiadomości, została wzięta pod uwagę kandydatura K. Pochwalskiego — i znów po upływie wielu dni i tygodni pisma nasze występują z tą „nowością" starą już dla czytelników „Przeglądu" i petersburskiego „Kraju". Dowodzi to, iż droga z Wiednia do Krakowa idzie na Poznań i Petersburg i trwa kilka miesięcy.

Prof. Józef Milewski został wybrany posłem do Rady państwa z okręgu wyborczego: Żółkiew-Rawa-Sokal. Cieszyć się należy, że przybędzie Kołu polskiemu niepospolita siła, która tylko dzięki niezdrowym stosunkom na tak właściwem na niej polu dotychczas zużytkowaną nie została. Charakterystycznym jest fakt, iż wyboru dokonała szlachta ze wschodniej Galicyi, która z natury rzeczy mało miała sposobności do bliższego poznania prof. Milewskiego i na którą szlachta bliżej Krakowa zamieszkała spogląda z pewną wyższością. Wybór dr. Milewskiego w tym okręgu wyborczym jest policzkiem danym wyborcom bocheńskim, bo dowodzi jasno, że szlachta żółkiewska umie się wznieść do zrozumienia, jakich kraj reprezentantów potrzebuje i nie traktuje spraw publicznych ze stanowiska sąsiedzkiej uprzejmości i stosunków familijnych, jak to uczyniła przez wybór p. Włodka szlachta bocheńska.

Miastu naszemu przybędzie nowy, a bardzo cenny zbiór numizmatyczny i archeologiczny. Hr. Emeryk Czapski nabył piękną willę przy ulicy Wolskiej, będącą niegdyś własnością ś. p. Humberta Krasińskiego i ma w niej umieścić swoje muzeum, które przez wiele lat wzbogacał i porządkował. Nie chcąc chować swych skarbów pod korcem, jak to czynią często inni jaśni panowie, postanowił uczynić swe zbiory dostępnemi publiczności. Szczęśliwy doprawdy ten Kraków, — ze wszystkich stron Polski płyną do niego pieniądze na cele publiczne i ciągną właściciele zbiorów artystycznych i naukowych.

W zeszłym tygodniu pochowano na cmentarzu krakowskim ks. Adama Słotwińskiego, człowieka bardzo ruchliwego i przez pewien czas bardzo głośnego. Brał czynny udział w organizacyi powstania, poczem emigrował za granicę. Powróciwszy do kraju osiadł w Krakowie, gdzie znalazłszy pusty klasztor OO. Pijarów, a będąc sam pijarem, zaczął czynić starania, aby mu go oddano w celu wskrzeszenia zgromadzenia pijarskiego. Był wówczas administratorem dyecezyi ks. Gałecki, narzucony przez rząd za smutnych w Galicyi czasów, niecierpiący też wszelkiego rodzaju patryotów. Rządzącej partyi nie mogła się też podobać przeszłość ks. Słotwińskiego. Zdawało się, że wśród takich okoliczności zamiary Słotwińskiego nie mają żadnych warunków powodzenia. A jednak miał na tyle energii, że wykołatał o co mu chodziło. Miał dalej tyle sprytu, że zaproponował ks. Czartoryskiemu, aby zajął połowę klasztoru na muzeum, a drugą połowę w zamian powiększył i gruntownie wyrestaurował. Doszedłszy do celu założył konwikt dla młodzieży, sprowadził jeszcze jednego pijara, a o drugiego postarał się z pomiędzy młodzieży poświęcającej się stanowi duchownemu. Konwikt był jednak źle prowadzony, a ks. Słotwińskiego spotkało tyle innych rozmaitego rodzaju zarzutów, że był zmuszony ustąpić z rektorstwa. Ponieważ *de mortuis nil nisi bene*, przeto nie wdaję się w ocenę działalności ks. Słotwińskiego. Był on autorem dwóch dziełek: w jednem dał przyczynek do dziejów Unii na Podlasiu, w drugim opisywał własne wspomnienia, w których przeciwnikom starał się porządnie dać cięgi. Oba te dziełka nie miały żadnej literackiej wartości. Nad grobem zmarłego przemawiał długo ks. Stojałowski, czyniąc z niego wielkiego patryotę i obrońcę prawdy.

Przez dwa tygodnie reklamowano u nas ostatni występ panny Miry Hellerówny, znanej śpiewaczki, odjeżdżającej do Ameryki. „Czas" i „Reforma" twierdziły, iż koncert „zapowiada się świetnie", a „Głos Narodu" radził prędko kupować bilety, bo może ich zabraknąć. Wielbiciele kupili już bukiety i zamówili wieniec laurowy. No, i koncert się nie odbył, nie dla tego, że jak twierdziły dzienniki, panna W. otrzymała wzywający ją natychmiast do odjazdu telegram, ale dla tej prostej przyczyny, iż w kasie teatralnej były przerażające pustki

Za to były w tej kasie spore pieniądze na dwóch przedstawieniach „Cyganeryi“, starej sztuki francuzkiej, przerobionej dla sceny polskiej przez Kazimierza Zalewskiego. Na trzeciem przedstawieniu nie miał już jednak brać co do kieszeni dyrektor teatru — sztuczna reklama nędznego antyku wystarczyła tylko na dwa razy. Czyby nie można za pośrednictwem Poznania prosić grzecznie redakcye pism krakowskich, aby się zastanowiły, czy jest rzeczą właściwą i godną poważnego dziennikarstwa wprowadzać w błąd publiczność, i jednę miarę reklamie zastósowywać tak do rzeczy prawdziwej wartości, jak i do wszelkich lichot, wstyd przynoszących sztuce dramatycznej. Możeby należało mieć własne zdanie, a nie poprzestawać na drukowaniu komunikatów przedsiębiorcy teatralnego.

K. Bartoszewicz.

LISTY Z PETERSBURGA

22-go października.

(Usposobienie ludności wobec choroby cara. Nadzieje pokładane w następcy tronu.)

Ciekawe teraz przebywamy chwile. Na rogach ulic stoją grupy ludzi, czytających porozlepiane biuletyny o zdrowiu cesarza Aleksandra III. Inni rozchwytują biuletyny, które policya i woźni z redakcyi Gońca urzędowego rozdają darmo na Newskim prospekcie, głównej arteryi życia nadnewskiej stolicy. Stan zdrowia cesarza jest tak groźny, że lada dzień oczekują katastrofy. Na dworcu kolei Mikołajewskiej przygotowują już w sekrecie pociąg żałobny, który ma przywieźć zwłoki żyjącego dziś jeszcze monarchy do stolicy. Wszyscy członkowie cesarskiej rodziny zjechali się już do Liwadyi lub znajdują się w drodze; o wysłaniu chorego na wyspę Korfu nie ma już mowy, a rząd grecki odwołał wszystkie rozporządzenia, wydane uprzednio w oczekiwaniu przybycia cesarskiej rodziny. Pisma naturalnie nie piszą nic ani o przebiegu choroby ani o wrażeniu jakie groźny stan cara sprawia na narodzie i społeczeństwie rosyjskiem. Wszystko, co prasa może sobie pozwolić w tym przedmiocie, ogranicza się do wyliczania nabożeństw, odprawianych codziennie w różnych cerkwiach stolicy i na prowincyi. Wśród publiczności na pierwszy rzut oka nie znać wielkiego wzruszenia: na ulicach i w publicznych miejscach nie słychać ani rozmów na temat choroby cara, ani rozpraw o tem, co przyniesie najbliższa chwila. Ale ta obojętność jest tylko pozorną i przymusową. Rosyanin wogóle nie przywykł publicznie wyjawiać swoich uczuć i myśli, a tem mniej w kwestyach politycznych. Za to w kółkach prywatnych, w salonach, redakcyach a nawet departamentach o niczem się dziś nie mówi, jak tylko o tem, co będzie, gdy car rosyjski zamknie oczy swoje. Masa różnych kwestyi zostaje w związku z życiem lub śmiercią tego człowieka, który pomimo ociężałości ciała i umysłu trzymał jadnak w swoim ręku losy olbrzymiego państwa i nadawał swój kierunek życiu studwudziestu milionów ludzi. Kierunek ten zdawał się podobać rosyjskiemu społeczeństwu. Z wyjątkiem szczupłego grona radykałów, wszystkie stronnictwa z większym lub mniejszym zapałem przyjęły zainaugurowaną przez Aleksandra III politykę wewnętrzną, której hasłem było: „Rosya dla Rosyan“ t. j. dla moskali prawosławnych. Nawet stronnictwo liberalne, zwolennicy konstytucyi, nie zżymali się wcale na prześladowanie tak zwanych innorodowców i innowierców, tj. polaków, niemców, finlandczyków, żydów i innych, którzy nie chcieli zostać rosyanami, chociażby z tej racyi, że uważali siebie za coś lepszego od wielkorusow czystej wody. Zagraniczna polityka cesarza, jego bezwzględne zamiłowanie pokoju, zbliżenie się do Francyi i t. d. również cieszyły się szerokiem uznaniem ze strony rosyjskiego społeczeństwa. Tak przynajmniej utrzymywała nietylko prasa, która nie bardzo by mogła mówić innym językiem, ale i szersze koła rosyjskiej inteligencyi. Jednem słowem przyzwyczajono się tutaj uważać za aksiomat, że car Aleksander jest doskonałym wyrazicielem usposobienia i politycznych aspiracyi swojego narodu, prawdziwym ulubieńcem olbrzymiej większości myślącej części rosyjskiego społeczeństwa. Zdawałoby się więc, że wieści z Liwadyi powinny wzbudzić w stolicy niepokój, obawę zmiany i żal za przeszłością. Tymczasem tak nie jest wcale. Żal jest, ale żałują człowieka, którego szanowano za jego życie prywatne; przed wszystkiemi zaś innemi względami panuje tylko ciekawość przyszłości i źle ukrywana a gdzieniegdżie wcale nieukrywana nadzieja, że ta przyrzłość będzie odmienną od teraźniejszości, że *będzie lepszą*. Obecny nastrój szerokich kół stolicy jest taki, że o ile się zdaje, żałobna wieść z dalekiego Krymu przyjętą zostanie z uczuciem ulgi, którą dozna nietylko sam pacyent, ale i cała Rosya. To poczucie, czyli właściwiej mówiąc, przeczucie ulgi, powtarzam, jest powszechnem. Opiera się ono nie na jakichbądź pozytywnych danych względem przyszłych reform, ale na pewności, że zniknie ta potężna wola, co jak zmora ciężyła na piersiach narodu i uniemożliwiła samą myśl o jakichkolwiekbądź postępowych reformach. A potrzebę, nawet konieczność tych reform czują wszyscy. Różnica w zapatrywaniach dotyczy tylko środków i sposobów.

Jedni, a ci są liczniejszi niż zwykle myślą u nas i za granicą, wierzą tylko w konstytucyą; inni, mniej liczni, boją się konstytucyi jako zawczesnej dla Rosyi i spodziewają się, że przy odpowiednim doborze ludzi potrzebne reformy dadzą się przeprowadzić bez radykalnej zmiany w formie rządu. Rzecz godna uwagi, że przeciwnicy konstytucyi uważają kwestyę polską za jedną z najważniejszych przyczyn, dla których ta forma rządu mogłaby być szkodliwą dla Rosyi. Polacy, powiadają, zasiadłszy w znacznej liczbie w petersburskim parlamencie, stanowiliby zbyt poważną siłę, z którą niepodobna byłoby się nie liczyć. Zaiste! możnaby zastosować do tych ludzi wiersz: „Das ist der Fluch der boesen That“; czy może być większa kara, jak widzieć się zmuszonym, wyrzec się zbawiennej reformy, aby tylko uniknąć konieczności naprawienia choć części złego, które się wyrządziło bratniemu narodowi.

Niedaleka przyszłość pokaże, czy mieli racyą ci, co się spodziewają zmian i reform, ale wiele jest danych przypuszczać, że nie wszystko zostanie po dawnemu. Tak np. w ministerstwach ustał prawie zupełnie wszelki ruch. Nie dalej jak wczoraj, minister spraw wewnętrznych odpowiedział jednemu z proszących go o coś: „Zaczekaj pan ze swoją prośbą, ja sam nie wiem, czy będę jutro ministrem.“ Ta niepewność jutra wszędzie bije w oczy. W polityce zewnętrznej, pomimo dość gorącego nawoływania prasy do wzięcia przez Rosyę udziału w chińsko-japońskiej wojnie przez zajęcie Korei i Mongolii, nie znać żadnego ożywienia. Na czemże opierają się nadzieje pokładane w następcy tronu przez wszystkich, którzy tak gorąco pragną reformy? Zdaje nam się, że przedewszystkiem na tem prawie psychologicznem, które każe tonącemu chwytać się brzytwy. Wszyscy czują, że jest źle, więc się czepiają zmiany tronu, jako nadziei, że ta zmiana sama przez się przyniesie jakieś polepszenie. Osoba młodego spadkobiercy tronu carskiego i jego charakter same przez się nie rokują zbyt wielkich nadziei. Wiadomo tylko, że niecierpi otoczenia swojego ojca — szczególnie pana Pobiedonoscewa; przestaje wyłącznie z ludźmi młodymi, nie przedstawiającymi jednak żadnej większej wartości; charakteru jest słabego z wyraźnemi despotycznemi popędami. Obawiają się także, że z całej rodziny najwięcej wpływu na młodego następcę tronu będzie miał wielki książę Włodzimierz, znany ze swoich despotycznych skłonności, nie mówiąc już o innych również znanych i jeszcze mniej sympatycznych rysach jego charakteru.

Dla nas naturalnie jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak następca tronu jest usposobiony względem Polaków. O Aleksandrze III, kiedy był jeszcze następcą, wiedziano i mówiono, że nie lubi Polaków; o wielkim księciu Mikołaju Aleksandrowiczu nic pod tym względem pewnego powiedzieć nie można. Jest młodym, a więc nie pozbawionym całkowicia idealniejszych popędów Stąd też prawdopodobnie pochodzi ta niechęć do środków wyjątkowych i gwałtownych przeciwko Polakom, z którą rzekomo zdradził się niedawno na jednem z ostatnich posiedzeń rady państwa. Na jakiś nowy projekt przeciwko Polakom miał odpowiedzieć następca tronu z ironią, czy nie lepiej byłoby wystrzelać wszystkich Polaków. Gdy mu ktoś odparł, że dziś cały naród polski jest winien, bo jest niezadowolony i nie ukrywa tego niezadowolenia, wtedy oświadczył podobno wielki książe: Usuńcie przyczynę niezadowolenia, a potem już karzcie winnych.

X.

NA WYŁOMIE.

(Aktor czy dyplomata? Nieco o kuglarstwie politycznem. Ostatni występ pani Zimajerowej.)

„Błogosławieństwo milczeniu! — tak mniej więcej mówił pan Kościelski na igrzyskach polskiego krasomówstwa w Lwim grodzie. „Klątwa gadulstwa“ — tak odpowiedziało echo po ostatnim interwiewie głośnego dyplomaty.

Nie zdarzyło mi się w ostatnich latach w szeregach polityków europejskich spotkać człowieka o takiem rozdźwięku słowa i czynu, — o takim podwójnem Janusowem obliczu. Gdy mówi z tobą w zaciszu domowem, — gdy ująwszy za rękę znajomego szepce mu dziwnie przejmującym głosem o swoich słońcach, wierzeniach, ołtarzach — prorok złotousty —, gdy z subtelnym uśmiechem dyplomaty sypie iskrami politycznych finezyi i głosi ewangelją rozumnego umiarkowania lub „błogosławieństwo milczenia“, wtedy wyciągasz rękę z zachwytem: Bądź pozdrowiony mistrzu!

A jutro? Jutro ten „wielki artysta“ przyjmuje u siebie niemieckiego reportera, pisze list otwarty do Ballestremów albo z trybuny parlamentarnej rzuca przysięgi lojalizmu polskiego — i w mgnieniu oka zmienia fizyonomją swoją. Pozornie zdawać by się mogło, że w tej kameolonowej naturze są znamiona politycznego geniuszu. Mistrz! — ludzie mówią — Wallenrod mądry, — aktor pierwszorzędny. Gdyby istotnie prawidła sceny były fundamentalną zasadą dyplomacyi, nie wahałbym się ani jedej chwili uchylić czoła przed potęgą talentu tego. Jest jednak doniosła różnica między Talmą lub Garrikiem, a dyplomatą prawdziwym. Aktor-artysta dziś jest Otellem, jutro Don Carlosem, a laur uwieńczy go w chwili, gdy tak się wcieli w bohaterów swoich, tak się upoi ich bólem, nienawiścią lub miłością, tak zapomni o tem życiu za sceną — tem codziennem życiu, — i tak *się unieść pozwoli potędze chwili*, że mimika jego i deklamacya przestaje być *grą*, a staje się *prawdą*. Geniusz sceniczny nie *symuluje* uczuć bohaterów swoich, lecz *kocha i nienawidzi* jak oni, — Eleonora Duze płacze prawdziwemi łzami. Taka metarmofoza to korona scenicznego artyzmu, — ale jestże ona koroną dyplomacyi?

Sztuka bez wrażliwości, giętkości i asymilacyi *uczuciowej* to marne rzemiosło, — polityk natomiast, porwany treścią swej roli, odurzający się własną metamorfozą i zatracający poczucie sztuczności jest niebezpiecznym graczem, który zamiast cele swoje zasłonić, *dusi* je zasłoną. Takiemu wrażeniu zduszenia nie mogę się obronić,“ ilekroć czytam mowy, listy otwarte, lub interwiewy pana Kościelskiego. Nie znam człowieka wrażliwszego na autosugestyą niż dyplomata berliński. W chwili gdy okrywa ciało swoje kostyumem owej słynnej „Staatsidee“, zamienia się istotnie w ekstrakt krańcowego lojalizmu. Rola go porywa, unosi, zapala, i roznamiętnia. „Umiarkowanie i milcze-

nie, których apoteozę wyśpiewał wczoraj w gronie Polaków, rozpływa się dzisiaj jak fata morgana, polityk awansuje coraz dalej na ślizgiej ścieżce, wiodącej z Kapitolu ku Tarpejskiej skale, — zimna krew panującego nad słowami swojemi doplomaty opuszcza go zupełnie, — scena staje się dla niego życiem, a to co grą, mimiką, dekoracyą, złudzeniem być miało, zamienia się w płomienną wiarę, — fanatyzm nieomal. Czyż dziwić się można, że z takiej autosugestyi wyłonić się musi niejedna przesada, dziwoląg i rozdźwięk? A nieufność niemieckich słuchaczy podnieca go jeszcze więcej. Gdy apostół mówi do tłumów, a ktoś z niewiernych rzuci mu szyderstwo, wtedy fanatyzm jego potężnieje jak ogień podsycony oliwą. Takim apostołem jest p. Józef Kościelski. Wstępuje w szranki maskarady dyplomatycznej i okrywa siebie płaszczem Wallenroda, lecz płaszcz ten, zamiast osłonić, dusi w nim Litwina; na chwilę tylko, na moment jeden, ale w fatalnej minucie niebezpiecznej metamorfozy słychać takie słowa, takie obietnice i takie zaparcia, których w żadnej komedyi politycznej używać nie wolno. — Zaczyna mowić o naszem rozpłynięciu w niemieckiej idei państwowej, przejmuje się rolą i — wierzy. A mimo to, ktoś tam uśmiechnął się ironicznie. Wtedy zapala się artysta, zapomina o wszystkiem, unosi się i z zaciętością nerwową mówi o „Prusakach po polsku mówiących“ i o tem, że „urągowiskiem wszystkich Polaków stałby się ten niezawodnie, ktoby odważył się marzyć o zaprowadzeniu takiego stosunku Poznańskiego do monarchii pruskiej jak Galicyi do monarchii Habsburgów. Nie wątpię ani chwili, że pan Kościelski żałuje nieraz wynurzeń ryzykownych, gdy demon sceny wypuści go z pazurów swoich, ale słowa jego lecą, szeleszczą zgrzytem fałszywym, mieszają pojęcia i mrożą ducha w narodzie polskim. Nie! geniuszem — aktorem jest może eksposeł kujawski, ale geniuszem — dyplomatą nigdy nie był i nigdy nie będzie.

A gdy już „w znaku dyplomacyi“ stanął mój feljeton to niechaj wolno mi będzie zaprezentować wam w dwóch słowach tylko drugi typ z tej sfery, — typ polityka z bruku poznańskiego. Znacie go wszyscy. Nie zapala i nie roznamiętnia się nigdy, a wtedy, gdy głos jego drży a z ust płyną hasła płomienne, gdy jakiemś patryotycznem tremolo grają słowa jego, — on zimny aż do szpiku kości oblicza efekt i na wrażeniu buduje osobiste lub koteryjne zamiary. O! ten arcykapłan dyplomacyi poznańskiej zna psychologią tłumów i jednostek — inaczej przemawia do poczciwego hreczkosieja, którego kupić sobie pragnie, inaczej do nadętego mieszczanina — karyerowicza, inaczej do rzemieślnika, którego gardła potrzebuje w politycznych walkach, inaczej do wielkiego pana, przed którym w pałąk się zgina, inaczej do człowieka, którego kąsać wolno mu bezkarnie. Widziałem go niedawno. Było to zebranie poważnych mężów poznańskich, radzących o naprawie rzeczypospolitej. Rzucono wnioski wrogie dyplomacie. On się uśmiecha, zaczyną mówić długo i bazładnie, nuży i męczy słuchaczy, nie zaczepia nigdy jądra wywodów przeciwnych, lecz chwyta jakieś słowo, jakiś zwrot, jakąś drugorzędną kwestyę i przedstawia rzeczy tak jakby to dźbło było istotą sprawy. Cóż? Słowa giną bez echa. Wtedy stawia półwnioski, podstępne propozycye kompromisowe i w chwilach opozycyjnych przemówień zaczyna szukać płaszcza i kapelusza swojego. To powoduje niepokój i nastrój pożegnania. Ludzie zaczynają się podnosić, szeptać, puszczać mimo ucha argumentacye mówców, a w mętnej atmosferze ogólnego znużenia i gwaru łowi ryby pan dyplomata. Jest w tem wszystkiem wiele jednostajności i parafiańszczyzny, ale my Poznańczycy idziemy na lep nawet dość pospolitego kuglarstwa.

* * *

W niedzielę wystąpi na scenie naszej po raz ostatni poni Adolfina Zimajor, a wystąpi nietylko jako ulubiona śpiewaczka operetkowa lecz również jako filantropka, niosąca pomoc bratniej drużynie poznańskich kolegów. Pani Zimajerowa ofiaruje dochód z niedzielnego przedstawienia na rzecz kasy pożyczkowej artystów naszych, założonej ich własnem staraniem w początkach bieżącego sezonu, a odśpiewa takie piosenki, o których śmiało powiedzieć można, że talent artystki stworzył je po raz drugi. Kto zatem, jak mówi pani Adolfina, lubi *„tylko tyle, tycio, tyćko“* artystów, muzykę, piękno i diwę operetkową, ten wieczór niedzielny spędzi w teatrze naszym.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Stefan Komornicki. Polska na Zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń, Część I. Zabory ¦i kolonizacya niemiecka na ziemiach polskich ze szczególnem uwzględnieniem W. Ks. Poznańskiego, do r· 1898.

Rozdział I. omawia postępy Niemców w krainach dawniej słowiańskich aż po Odrę i góry Czeskie. Statystyczne dane gruntownie uzasadnione i skrzętnie zebrane nie pociesz jacy dla nas bynajmniej malują obraz. Żywioł niemiecki przez przeciąg 3 wieków posunął się w pasie stumilowym, o kilkadziesiąt mil w głąb Słowiańszczyzny Zwycięski ten krok historya niemiecka przypisuje wyższości kulturnej zdobywców tej ziemi. Tej siły nie ignorujemy wprawdzie — lecz większą daleko rolę odgrywa tu ogień i miecz — siła brutalna.

Historya zaborów i kolonizacyi niemieckiej na ziemiach polskich dzieli autor na 3 okresy I Okres Chrześcijaństwa, sięgający do pogromu Zakonu pod Grunwaldem, a zwłaszcza do pokoju toruńskiego (1446 r.) II Okres Reformacyi aż do I podziału Polski w r. 1772. III Okres Porozbiorowy do najnowszych czasów.

Nie jesteśmy zwolennikami tego rodzaju podziałów ograniczonych ścisłemi datami wobec objawów nie nadających się do ścisłego odgraniczenia datami. W tym jednak razie autor koniecznie musiał oprzeć się na jakimś szkielecie dat historycznych, musiał rozgraniczyć okresy pewnemi słupami granicznemi, aby czytelnikowi dać pewne wytyczne, pewne punkta przy studyowaniu dzieła, pełnego trafnych spostrzeżeń i obfitującego w statystyczny materyał.

Nie naszą dzisiaj sprawą wdawać się w poszczególną ocenę opracowania każdego z tych okresów — pozostawiamy sobie krytyczny rozbiór cennego dzieła na później — to atoli zaznaczyć musimy, iż autor niemało przysłużył się społeczeństwu naszemu, nie szczędząc trudów i starań, by szczegółowy ustawić bilans dla Słowiańszczyzny nam pobratymczej i sąsiedniej, a szczególniej dla nas, naszych zysków i strat. Widać ze wszystkiego, iż autor gruntownie zastanawiał się nad stawionem sobie zadaniem i tak co do formy, jak jasności i przedstawienia trudno byłoby poważniejsze wynaleźć zarzuty. Spodziewamy się, iż autor w swej pożytecznej pracy nie ustanie i sądzimy również, iż publiczność przeszłość naszą miłująca, i pragnąca wiedzieć, jak stoi nasza sprawa wobec naporu obcoplemiennego dokładne znajdzie wyjaśnienie naszego położenia. Ł.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadmości społeczne i polityczne. Najświeższe wiadomości z Liwadyi potwierdzają agonją cara. — Parlament niemiecki zwołano na 15 listopada. — Z przedłożonego niemieckiej radzie związkowej etatu dochodów na przyszly rok etatowy, dowiadujemy się, że sumy wpływające z ceł do kasy państwowej obliczono na 34,064,200 Mr. (906,400 Mr. mniej niż w roku bieżącym). — Wczoraj wieczorem rozniósł telegraf po świecie niespodziewaną wiadomość, że kanclerz Caprivi złożył swój urząd, a minister finansów Miquel powołany został na urząd kanclerza.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie Tow. rolniczego powiatu mogilnickiego odbędzie się 13 listopada u p. Splitta w Mogilnie. — W końcu grudnia odbędzie się kongres lekarski w Kalkucie. — W Berlinie odbył się kougres ornitologów niemieckich.

Wystawy. Dnia 24 b. m. otwarto wystawę rolniczo-przemysłową Kółka rolniczego w Grodzisku. — W Amsterdamie odbędzie się w roku przyszłym wystawa urządzeń podróżniczo-turystycznych i hotelowych. — W Berlinie ze zbiorów konsula Mayera otwarto wystawę dotyczącą kraju i ludów półwyspu koreańskiego.

Teatr i muzyka. W bieżącym tygodniu wznowiono na scenie naszej „Miłość ubogiego młodzieńca“, w której grą artystyczną odznaczali się w pierwszym rzędzie p. p. Królikowski, Sosnowski i Knapczyński. Maleńką, lecz wdzięczną rolę młodej wieśniaczki powierzono świeżo zaangażowanej artystce pannie H e l e n i e Z i m a j e r, a występ ten wypadł korzystniej niż pierwszy debiut w „Broni niewieściej“. W grze panny Zimajer nie ma oczywiście należytej rutyny, ale jest to bądź co bądź talent rokujący w zakresie ról naiwnolirycznych piękne nadzieje. Modulacya głosu i mimika zdradza dobrą szkołę i sumienne studya. — Mierzwiński, który przyszedł już do zdrowia, studyuje obecnie „Otella“ w Paryżu. — Ryszard Ruszkowski, artysta sceny lwowskiej, bawi na gościnnych występach w Łodzi. — Jan Reszke, wybierając się do Ameryki, wystudyował Wagnerowskie opery: „Lohengrin“, „Meistersänger“ i „Tristan und Isolde“.

Biedny Syrokomla. „Kuryery“... amerykańskie poczytują sobie za punkt honoru: nie dać się jeden drugiemu w niczem prześcignąć.

W tych czasach jeden z nich doniósł, że muzyk jakiś pisze czteroaktową operę p. t. „Margier“. Wiadomość była opatrzona objaśnieniem:

„Libreto opery osnute jest na poemacie Pola“.

Zaraz nazajutrz inny „Kuryer“ podał swym czytelnikom tęż samą wiadomość, zbogaciwszy ją dodatkiem, że „treść libreta poczerpnięta została ze znanego poematu P o l a.

Nieboszczyk Syrokomla został pokrzywdzony, ale współzawodnik postawił na swojem i nie dał się współzawodnikowi prześcignąć... w czem? niech na to odpowie czytelnik.

Z m a r l i :

Czesław Kobliński, artysta - rzeźbiarz (grupa Laokoona), zm. w Rzymie.

Albert Gilli, historyk sztuki, zmarł w pobliżu Umbogi.

Edward Chłopicki, autor interesujących opisów podróży, zm. w Warszawie.

BIBLIOGRAFJA.

Biegański Władysław dr. Logika medycyny, czyli zasady ogólnej metodologii nauk lekarskich. Warszawa 1894. Cena 2 Mr.

Historya Towarzystw tajnych: Dzieje wolnomularstwa, masonii, według najlepszych źródeł opracowane. Wyd. II. Kraków. Nakładem G. Gebethnera i Sp. Cena 3 mr.

Szczaniecki Konstanty radca. Rys historyczny Towarzystwa rolniczo-przemysłowego w Gostyniu od czasu zawiązania aż do końca roku 1893 pogług akt Towarzystwa. Poznań 1894.

Mazanowski Antoni. Kornel Ujejski, charakterystyka literacka. (Odbitka z Sprawozdania gimn,) Stryj 1894. Cena 1894.

Stefczyk Fr. dr. Handlowa działalność Kółek rolniczych w Galicyi (Odbitka z Ekonomisty polskiego) Lwów 1894. Cena 1,20 mr.

Stroka Henryk. Zbiór poezyi. Rzeszów. Nakł autora 1894. Cena 1 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ka. Wir. Wierszyk ma pewne znamiona talentu, ale forma twarda, miejscami wymuszona. Rzecz o Wasilewskim nie dość głęboka i wyczerpująca. Styl piękny, — koniec tylko stosowniejszy do krasomówczego popisu niż artykułu literackiego. Prosimy uchylić anonimu.

I. Machalski. Brooklyn N. Y. Za wyjaśnienie serdecznie dziękujemy.

Ks. P. Kompletów już nie posiadamy i mimo najszczerszych chęci dostarczyć nie możemy.

Zofia P. Broszura Brandesa już się znajduje w handlu księgarskim. Skład główny znajduje się w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu. Cena 0,50 mr.

Hamlet. Najlepszem miejscem całego utworu jest tytuł: „Być albo nie być“. Reszta przypomina znany czterowiersz:

Noc ponura,
Czarna chmura,
Piorun bije,
A pies wyje.

Bezstronnemu w Berlinie. Doręczyliśmy wiadomej redakcyi.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożył:

G., inżynier 5 marek. — Dotychczas zebraliśmy 536,50 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie.

W artykule K. Bartoszewicza p. t. „Książka Koźmiana o r. 1863 (Nr. 30) czytać należy zamiast „do Gossery“ — „do Goszczy“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.